Nr. 35 • 27 • VIII • 1932

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE



ŚWIAT

Co otrzymuje prenumerator „ŚWIATA” za 5 zł. miesięcznie?

1) Co tydzień zeszyt „Świata” zawierający zawsze ciekawą i aktualną treść oraz obfite ilustracje;

2) Co tydzień kupon zniżkowy (50%) do b. teatrów miejskich w Warszawie;

3) Raz na miesiąc duży tom interesującej powieści.

Prenumerata miesięczna z odnoszeniem do domu: zł. 5.50, na prowincji zł. 6.–.

Cena pojedyńczego numeru wynosi w całej Polsce zł. 1.–.

ZALETY MOTOCYKLU.



— Tak cichutko siedzisz, kochanie! Musisz być gdzieś daleko myślami.




CHROŃMY DZIECI PRZED GRUŹLICĄ




HUMOR

— Czy miał pan już kiedy wypadek automobilowy?
— Raz jeden: gdy przyłapałem w garażu żonę z szoferem in flagranti.

*

— Jestem bardzo zadowolona z mego męża. Nie gra i nie pije...
— Czy i nie pali?
— O rzadko — tylko po dobrym obiedzie.

*

— Tak długo pana nie było nigdzie widać, mistrzu. Czy pisał pan może nową sztukę?
— Nie, byłem chory.
— No to dzięki Bogu...

*

— Zauważyłem, że na fotografjach kawalerskich masz o wiele mniejsze oczy, niż obecnie.
— O tak, bo dopiero po ślubie otworzyły mi się oczy na dobre.

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 27-go SIERPNIA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 35 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Wobec doniosłości wypadków, rozgrywających się za naszą granicą zachodnią i znaczenia ich dla Polski, rozpoczynamy druk serji artykułów, poświęconych Niemcom współczesnym. Wychodzą one z pod pióra doskonałego znawcy stosunków, obserwującego bieg rzeczy własnemi, trzeźwemi oczami. Ze zrozumiałych powodów autor woli zachować incognito.

Agonja Republiki Niemieckiej

Jeśli aforyzmem można scharakteryzować skomplikowaną sytuację kraju, przeżywającego dreszcze rewolucyjne, to w stosunku do Niemiec najtrafniejszem wydaje się powiedzenie jednego z intelektualistów lewicy niemieckiej: „Nie jest pewne, czy Niemcy istotnie przeżyły rewolucję. Pewne jest natomiast, że kontrrewolucja zapanowała u nas całkowicie".

Niedociągnięcia zasadnicze, fałsz wewnętrzny i — co najgroźniejsze — zakłamanie towarzyszyły republice niemieckiej od chwili jej proklamowania przez Scheidemanna, poprzez ugruntowanie w konstytucji weimarskiej, aż po dni ostatnie rządów Brüninga.

Zły duch Niemiec i Europy — klan junkrów i kasta wojskowa starych Prus — nie zostały złamane. Twórcy quasi rewolucji — socjalni demokraci, zadowolili się kilku posadami nadprezydentów regencji i kilku tekami ministerjalnemi. Zresztą, przykładnie gnębili metodami staropruskiemi inaczej myślących...

Kasta wojskowo-junkierska usiłowała zrazu zamachami opanować władzę. Gdy się to nie udało, zorganizowano masowy ruch ludowo-nacjonalistyczno - radykalny przy pomocy dowcipnych środków.

Najlepiej uwidoczniają się one w postaciach głównych figur kierowniczych. Boć wiadomo, że w tym kraju, przywykłym do działania w wielkiej masie, w zwartych szeregach, niczem potężne bryły, przywódca jest każdego ruchu uosobieniem.

*

W przeddzień ostatnich wyborów do parlamentu Rzeszy b. kanclerz Bruening, zdymisjonowany w sposób iście pruski, powiedział na wielkim wiecu wyborczym w berlińskim Pałacu Sportowym: „Zaledwie przed kilku miesiącami nawoływałem z tego miejsca do głosowania na feldmarszałka Hindenburga"... Był to żałosny głos zawodu. Bo zaiste w niespodziany sposób zakończył się epizod przyjaźni tych dwóch polityków: sędziwego feldmarszałka, który w pewnym momencie stał się dla wielu Niemców jedyną deską ratunku idei republikańskiej i — porucznika rezerwy, niedoszłego profesora gimnazjalnego, uważającego za największą bodaj stratę swego życia, że inne zajęcia przeszkodziły mu w opracowaniu monografji o ulubionym pisarzu-myślicielu Walterze Pater.

Nie w czasach wojny zbliżyli się. Poznali się w okolicznościach dla Niemiec republikańskich już krytycznych. Gdy upadł rząd wielkiej koalicji stronnictw lewicy, centrum i umiarkowanej prawicy — Henryk Brüning był — w 44-ym roku życia — przywódcą Centrum Katolickiego, był autorytetem w sprawach finansowo-budżetowych, miał za sobą świetny okres organizatora chrześcjańsko-robotniczego ruchu politycznego. Został zaproszony do prezydenta i odrazu spo-

sobem stawiania kwestji, wielką rozwagą, prostotą i rozumem podbił sobie serce starego generała, który często wprawdzie ulega nieszczęśliwym podszeptom niepowołanego otoczenia, ale co do Brüninga nie omylił się. Znalazł człowieka, jakiego potrzebował.

Przyjaźń trwała akurat dwa lata. Obfitowała z obu stron w rozczulające objawy. Hindenburg odnosił się do „swego“ kanclerza, jak do syna. Gdy kanclerz wybierał się zimą w objazd Prus Wschodnich, posłał mu Hindenburg swój kożuch, w którym odbył wojnę, aby się nie przeziębił w stronach, których mroźny klimat Hindenburg znał dobrze. Prywatnie mawiał prezydent o Brüningu: „mój kanclerz“, co oznaczało najwyższą pochwałę. A stary junkier pruski, wpływowy latyfundysta Oldenburg-Januschauer nazywał Brüninga nieinaczej, jak „pierwszym po Bismarcku kanclerzem Rzeszy“. Słowo ważkie, zwłaszcza w takich ustach!

Co łączyło: Hindenburga z Brüningiem? Obaj są konserwatystami, obaj — nacjonalistami umiarkowanymi w metodach działania. Brüning odrazu stanął na gruncie nastrojów, jakie wytworzyło otoczenie feldmarszałka w sprawach wojskowych. Co więcej, sam wprowadził do rządu żywioł tak bojowy pod względem wojskowo-nacjonalistycznym, jak głośny Treviranus.

Brüning obrał politykę umiarkowanie prawicową, jeśli chodzi o stosunki zewnętrzne. Chciał pogodzić się z Francją i rozszczepić sojusz polsko-francuski. A dalej? Dalej wszystko — wiadome. Ale to wiadome było rozkładane na czas dłuższy, aby przygotować się należycie. Czy taki program mógł nie dogadzać feldmarszałkowi, który ma zresztą osobistą urazę do Polski, że musi przez nasze terytorjum przejeżdżać, ilekroć udaje się do swego majątku w Prusiech Wschodnich?

Brüning łudził się, że mając poparcie prezydenta, który — jak i on — nie znosi jarmarcznego hałasu hitlerowskiej hałastry, zdobędzie dla swego spokojnego nacjonalizmu — mieszczaństwo i będzie w ten sposób rządził przez długie lata. Przerachował się. Mimo szacunku, jakim go darzono, nie potrafił zjednać sobie i porwać mieszczaństwa, które, zniszczone przez inflację, straciło własną linję polityczną i poczęło z niecierpliwością przerzucać się do Hitlera.

„Hałastra“, obu niedogodna, rosła. Intrygami usiłowano oddzielić prezydenta od „jego“ kanclerza. Długo nie skutkowało; aż — pomogło. Tym razem, jak zawsze w okresie zawieruchy, junkrzy i wszechniemcy odegrali rolę zbawców. Wytłomaczyli staremu prezydentowi, że Brüning poszedł na metody... bolszewickie, on — organizator chrześcijańsko - katolickich związków, on, który jeszcze w listopadzie 1918 r., gdy już wojska buntowały się, formował na froncie oddział specjalny celem obalenia rewolucji w stolicy!



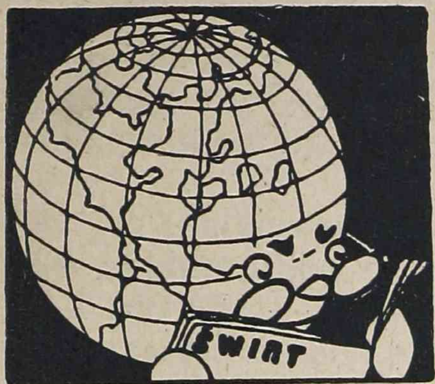
KONNA POLICJA PRZED GMACHEM PARLAMENTU

Wytłomaczono tedy prezydentowi, że program parcelacji latyfundjów nadłabskich i wschodnio - pruskich, z kretesem zadłużonych, jest próbą nacjonalizacji na wzór sowiecki. Brüning został bolszewikiem. I musiał ustąpić.

Padł formalnie dlatego, że majątki nie do uratowania chciał oddać w ręce włościan, wedle planu kolonizacji granicy przeciw żywiołowi polskiemu. Faktycznie obaliła go wzbierająca fala nacjonalistyczna, radykalnie podbechtana. Fala ta została przez właściwych władców dzisiejszych Niemiec, wodzów Reichswehry, uznana za doskonałą sposobność do wysadzenia z siodła tego ascety, upartego niczem litwin, potomka w pierwszem pokoleniu chłopa westfalskiego.

Panem sytuacji został generał Schleicher, właściwy ideolog uzbrojenia Niemiec za zgodą czy wbrew woli Francji, pan Reichswehry, protektor — narazie Hitlera. Wskoczył, utraciwszy poprzednio swego byłego szefa, generała Groenera, za nieśmiałą próbę ukrócenia rozboju hitlerowskiego i — panuje nad przeciwnikami i... sojusznikami.

Hitlera po to się pocichu popierało, aby stworzyć siłę i przeciwwagę dla lewicy demokratycznej. Socjaliści, którzy w rydwanie polityki Hindenburga i Brüninga stracili siłę atrakcyjną i bojową, ale zachowali masę głosów, są już tylko martwą przeszkodą. Nie mogą rządzić, ani nawet współrządzić. Pozostali na uboczu. Jeśliby się połączyli z komunistami, tem łatwiej będzie wyrzucić ich poza nawias narodu. W obecnej pozycji, bez wodza na dużą skalę, z kierownictwem niechętnem do walki, mogą być tylko siłą obronną, przestali być zaczepną. Grupy mieszczańskie, poza centrum, przestały istnieć. Poto właśnie potrzebne było protegowanie ruchu hitlerowskiego,



TYDZIEŃ ŚWIATA

(sk) Powrót...

Z nad morza, z gór, z gęstych lasów pędzą ku Warszawie i większym miastom przeładowane pociągi. Kończą się wakacje, dobiegają kresu urlopy. Trzeba wracać do obowiązków i zwykłej pracy. Rozpoczynamy rok nowy.

Bo istotny rok nowy teraz właśnie będzie miał swój początek. Dzień 1 stycznia jest terminem kalendarzowym. W życiu potocznem nie stanowi żadnego etapu. Rok pracy rozpoczyna się w pierwszych dniach września, kończy — z początkiem lata, które będzie zawsze okresem zasłużonego wytchnienia, naprawy zdrowia i nudów, nagrodą za wielomiesięczny trud.

Stajemy tedy z powrotem przy codziennym warsztacie pracy. W realnem znaczeniu tych słów — zagłębiamy się znów po szyję w odmęt kłopotów, zmartwień i zawodów naszej obecnej, coraz cięższej, walki o byt.

. . . .

(lvr) Po obchodach rocznicy wybuchu światowej wojny warto przypomnieć, jak potworne straty poniosła ludzkość.

Jak wynika ze świeżo ogłoszonej przez płk. dr. Kamińskiego „Statystyki strat w czasie ostatnich wojen", krwawe żniwo przedstawia się następująco: Armja francuska na 8.317.000 żołnierzy straciła 7.325.000; angielska na 5.399.000 walczących miała poległych, rannych, chorych i jeńców 4.231.572. Straty armji amerykańskiej, liczącej 2.086.000 żołnierzy, wynoszą 1.226.231, a z 15.123.000 żołnierzy rosyjskich moloch wojny pochłonął 12.122.000. W tym samym stosunku zdziesiątkowane zostały wojska niemieckie. Walczyło około 13 miljonów, z których 12.332.354 padło ofiarą masakry.

W okresie wojny polsko-bolszewickiej armja nasza, licząca 1.200.000 żołnierzy, poniosła następujące straty: zabitych i rannych 251.329, oraz 450.000 chorych i niezdolnych do pracy, co razem daje cyfrę 701.329 ofiar.

Mimo tych potwornych cyfr są jeszcze ludzie, a nawet mężowie stanu, którzy marzą o wojnie.

. . . .

(sk) Wpadł mi w ręce dramat, napisany przez młodego pisarza niemieckiego, Hansa Chlumberga, który zresztą wnet po napisaniu go umarł. Tytuł dramatu: „Cud pod Verdun" (Wunder um Verdun). Psychiczna strona tego utworu zasługuje na uwagę.

Autor miał pomysł niezwykle interesujący: W piękną noc sierpniową, w dwadzieścia pięć lat od chwili wybuchu wojny światowej, otwierają się podwoje wielkiego wspólnego grobu i polegli w walkach pod Verdun, francuzi, niemcy, anglicy, włosi, amerykanie, wstają z martwych. Z Najwyższego Rozkazu powracają do żyjącego świata. I oto zaczynają się niesłychane perturbacje. Rodziny pogodziły się już z losem. Tu i owdzie jakieś serce kobiece zadrżało głębszem uczuciem: naogół ci zmartwychwstańcy okazują się dla wszystkich ciężarem nie do zniesienia. Rządy państw przerażone. Co robić w dobie kryzysu z setkami tysięcy, może z miljonami tych nowych bezrobotnych niezadowoleńców? Bo mają oni na ustach wszyscy jedno tylko pytanie:

— Dlaczego znosiliśmy podczas najokrutniejszej z wojen takie nieludzkie męki, dlaczego ponieśliśmy śmierć, skoro na ziemi nic nie zmieniło się na lepsze? Wszędzie panuje egoizm, przewaga mocniejszego, kabotynizm, kłamstwo, hypokryzja. Bohatersko przelana krew nie oczyściła zgoła atmosfery przedwojennej. Wszystko zostało po dawnemu, tylko życie stało się nierównie cięższem i trudniejszem.

Niektóre fragmenty są bardzo silne i na scenie, którąby sobie pozwoliła na eksperyment tego widowiska, musiałyby wywołać potężne wrażenie. Poetycki pomysł zrodził się jednak w mózgu pisarza, który nie był poetą: stąd wytworzyła się duża niewspółmierność między górnym zamiarem a chwilami dość ba-

Międzynarodowy lot wokół Europy: Challenge 1932



CZOŁOWY ZAWODNIK POLSKI, POR. ŻWIRKO WITA SIĘ Z ŻONĄ I SYNKIEM NA LOTNISKU WARSZAWSKIEM PODCZAS KRÓTKIEGO POSTOJU. W OWALU WŁOSKI PILOT A. COLOMBO, ZWYCIĘZCA W PRÓBACH TECHNICZNYCH Fot. Jan Ryś

nalną jego realizacją. Tem nie mniej przecież dramat ten, bardzo czytany w Niemczech (nie wiem, czy robiono z nim próbę sceniczną), świadczy o coraz większym fermencie umysłowym, dokonywującym się w społeczeństwach zachodnio-europejskich. Ferment ten nie jest tak krzykliwy na zewnątrz, jak hitleryzm, lecz sięga znacznie głębiej.

. . . .

(V.) W ciągu niespełna miesiąca Austrja traci drugiego męża stanu. Po ks. Seiplu umiera b. kanclerz i b. minister spraw zagranicznych, Schober. Dwaj ci ludzie, wyrośli w dniach kruszenia się monarchji habsburskiej i narodzin nowej republiki austrjackiej, byli jakby swojem przeciwieństwem — i swojem dopełnieniem.

Ks. Seipel, uczony teolog i socjolog, przygotowywał się do roli politycznej w bibljotece jezuickiej i na katedrze uniwersyteckiej. Z pod jego pióra wyszedł traktat o nauce ekonomiczno-etycznej Ojców Kościoła i cenne dzieło p. t. „Naród a Państwo".

Schober od najmłodszych lat służył w policji i dzięki zdolnościom i taktowi doszedł stopniowo do rangi c. k. prefekta i do tytułu „prezydenta policji" republikańskiej. W tym charakterze stłumił powstanie komunistyczne 1919 r. i rozruchy socjalistyczne 1927 r. Za uratowanie ładu i porządku został kilkakrotnym ministrem i kanclerzem, naprzemian z ks. Seiplem. Ten niósł pierwiastki wartości moralnej i duchowej, tamten reprezentował element siły fizycznej i organizacyjnej.

Zrazu z sobą współpracowali, lecz z czasem materja poczęła przeciwstawiać się duchowi. Ale policjant, dobry w resorcie spraw wewnętrznych, gdy się zabrał do polityki zagranicznej, runął wraz z Curtiusem na sprawie unji celnej austrjacko - niemieckiej, uznanej za wstęp do Anschlussu. Niezgrabne to posunięcie popsuło całą poprzednią koronkową robotę ks. Seipla. Austrja stanęła nad przepaścią finansową i musiała szukać ratunku w podpisaniu układu lozańskiego.

Właśnie parlament miał głosować nad jego ratyfikacją; Schober, jako zwolennik połączenia z Niemcami, był mu przeciwny. Głos ten decydował o większości i mógł doprowadzić do odrzucenia układu i upadku gabinetu Dollfussa.

Nieoczekiwana śmierć Schobera zmieniła sytuację parlamentarną; na jego miejsce wszedł poseł, należący do Landsbundu, przychylny



B. KANCLERZ SCHOBER

układowi. Dollfuss otrzymał większość.

W takiem samem położeniu znajdował się rząd przed zgonem Seipla. Od jego głosu zależał upadek gabinetu. Zanim rzucił czarną gałkę, sam ją otrzymał.

— Dollfuss zawdzięcza swój żywot wyłącznie nieboszczykom — powiadają z tego powodu w kuluarach wiedeńskich:

— Ale przecież wszyscy nie powymieramy? — pocieszają się posłowie.

. . . .

(go) Zaprzyjaźniony naród Francuzów daje czasem o nas świadectwo zdumiewające.

Odwiedziła nas pewna rodowita Amerykanka, żona profesora uniwersytetu „Columbia", która wcale dobrze zna język polski.

Pytamy, gdzie go się uczyła.

— W Paryżu, gdy studjowałam w Sorbonie filozofję i psychologję, uczęszczałam również na „Cours des langues orientales vivantes".

— Jakto, na kursach języków wschodnich wykładają polski?

— A tak. Obok chińskiego, japońskiego, perskiego i arabskiego wykładają także polski.

— Gdzie to się odbywa!

— Rue de Lille Nr. 1.

Pocieszyliśmy się, że język polski zaliczają w Paryżu do języków żywych, choć wschodnich.

. . . .

(Old) W prasie ukazały się tryumfalne wiadomości o dalszem udoskonalaniu naszych telefonów: mają być zautomatyzowane aparaty podmiejskie.

Mimowoli każdy zadaje sobie pytanie, dlaczego w dobie kryzysu, bezrobocia i zaniechania najpotrzebniejszych nawet inwestycji, nprz. naprawy szos, dlaczego właśnie teraz przystępuje się do tej kosztownej i bądź co bądź nienaglącej zmiany? I skąd biorą się na to pieniądze?

Otóż na ten specjalnie cel zaciągnięto przed półtorarokiem pożyczkę w Anglji: — 550 tys. funtów ster. Ale tylko mniejszą część wypłacono nam w gotówce. W lwiej mierze mamy ją wybrać towarem. Chcemy więc, czy nie chcemy, musimy teraz automatyzować telefony, zwalniać z posad telefonistki i powiększać bezrobocie wśród pracowników umysłowych.

To są skutki bezpośrednie. A pośrednie? Czy sprowadzanie urządzeń angielskich nie zahamuje, nie zniszczy wprost dobrze rozwijającego się rodzimego przemysłu teletechnicznego? I czy przypadkiem za dostarczany nam z tej pożyczki towar nie przepłacamy w stosunku do kursu funta i do cen dzisiejszych?

Gdyby te dwa przypuszczenia sprawdziły się, nie mamy co się chwalić automatyzacją. Należałoby raczej tłumaczyć się z niej przed zbiedzonem społeczeństwem.

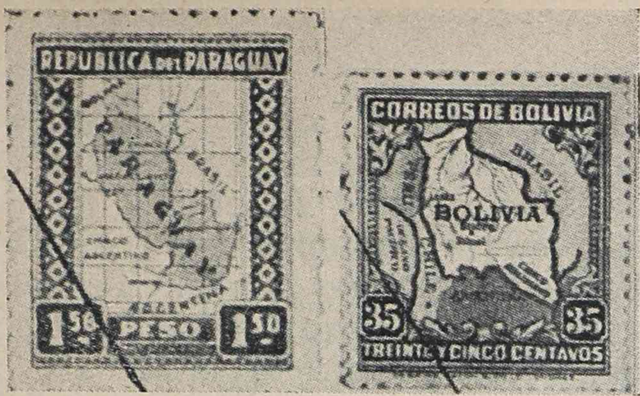
. . . .

(go) Przyjął się w Polsce znakomity zwyczaj, że usługa w restauracjach i hotelach nie wyciąga już ręki po napiwek, lecz dolicza do rachunku 10%. Jest to słuszne, sprawiedliwe, uczciwe, etyczne, poprostu przyzwoite i kulturalne.

Należałoby jednak ten chwalebny zwyczaj jeszcze zgeneralizować na inne odcinki usług osobistych, a mianowicie na dozorców, otwierających bramy po godz. 10 minut 30.

Skoro w żaden już sposób ten średniowieczny zwyczaj nigdy się w Polsce nie da wykorzenić, i w dalszym ciągu mieszkańcy miast mają być pozbawieni możności dostawania się do własnych mieszkań lub wychodzenia z nich po tej godzinie bez interwencji osoby trzeciej, to niechże przynajmniej nie będzie to związane z kłopotem pamiętania, że łupak 20-groszowy w portmonetce znajdować się musi. Utrudnień życiowych i tak mamy dość, a zatruwają one niezgorzej egzystencję.

Czemużby pan dozorca nie miał stanąć na wyżynach społecznych kelnera? Czemużby lokatorzy i gospodarz łącznie nie mieli ustalić jakiegoś pro centum czy pro mille od lokalów na ten cel, skoro już uwzięliśmy się na bezsenne noce trzydziestu tysięcy obywateli-dozorców w samej stolicy, a kamienice nasze chcemy widzieć upodobnionemi do więzień.



Wojna o znaczki pocztowe

Boliwja contra Paragwaj

Niedość było dla naszych czasów pokojowo-rozbrojeniowych wypadków w Mandżurji i Szanghaju. Na drugiej półkuli — w Ameryce Południowej szykuje się nowa wojna, — także między państwami, należącemi do Ligi Narodów, także sygnatarjuszami paktu Kelloga.

Boliwja i Paragwaj zarządziły mobilizację; już wymieniono strzały i padły pierwsze trupy; w obu państwach podniecа się zapał patrjotyczno-wojenny do tego stopnia, że kobiety i dzieci zgłaszają się do szeregów. Wojna wisi na włosku.

O cóż chodzi? Przedmiot sporu jest bodaj starszy od państw skłóconych. Sięga bowiem czasów, gdy kolonje południowo-amerykańskie wyzwalały się z zależności od Hiszpanji i przekształcały w niepodległe republiki.

Przyjęto wówczas ogólną zasadę, że granice państwowe będą odpowiadać dawnemu podziałowi administracyjnemu kolonji. Na nieszczęście, w tych mało zaludnionych, niedostępnych i niezbadanych dokładnie krainach rozgraniczenie między prowincjami, zarządzanemi przez namiestników królewskich (Adelantados) dalekie było od precyzji; nie miało zresztą praktycznego znaczenia, wobec wspólnej przynależności do Hiszpanji. Tak więc niepodległe republiki zrodziły się już w grzechu sporów terytorjalnych.

Jeden z największych i najtrudniejszych do rozwiązania problemów powstał między Boliwją a Paragwajem. Dotyczył on wielkiego kraju, zwanego północnem Chaco i położonego w olbrzymich widłach, utworzonych biegiem rzek Paragwaju i Pilkomajo. Sporne terytorjum mierzy prawie 300 tys. km^2, czyli równa się $^3/_4$ obszaru Polski i niemal dwukrotnie przewyższa rozmiarami właściwy Paragwaj, liczą-

MIESZKAŃCY PARAGWAJU (NA LEWO) I BOLIWJI (NA PRAWO) NALEŻĄ DO TEJ SAMEJ MIESZANEJ RASY INDYJSKO-HISZPAŃSKIEJ; KOBIETY TYCH PLEMION ODZNACZAJĄ SIĘ URODĄ, PRACOWITOŚCIĄ I ODWAGĄ, CO STWIERDZAJĄ WSZYSCY TURYŚCI, ZAPUSZCZAJĄCY SIĘ W GŁĄB TEGO KRAJU

cy 160 tys. km² z niespełna miljonem ludności. Nic dziwnego, że na tak znaczny objekt paragwajczycy oddawna patrzyli z pożądliwością i usiłowali go kolonizować.

Boliwja natomiast, rozporządzając obszarem przeszło miljona km² i mając zaledwie 2 i pół mil mieszkańców, mniejszą przywiązywała wagę do wielkiego, ale dzikiego pustkowia, jakiem jest północne Chaco; znaczna część jego, zwłaszcza ostry kąt w widłach łączących się rzek Paragwaju i Pilkomajo, stanowi niską i smutną płaszczyznę, zalaną od listopada do kwietnia wzbierającemi wodami, które na resztę roku pozostawiają rozległe bagna i moczary, będące siedliskiem zarazy. Na podwyższeniach gruntu, służących podczas powodzi za schronisko dla zwierząt i bardzo nielicznych prymitywnie żyjących tu ludzi, rosną krzaki i karłowate drzewa. Krajobraz — przypominający nasze Polesie, tylko dziesięciokrotnie większy, dzikszy i straszniejszy. Nawet Indjanie nie zapuszczają się wgłąb tego kraju w obawie zabójczej malarji.

Niegościnne te sawanny są jednak zamknięte u północnej podstawy odwróconego wierzchołkiem wdół trójkąta szerokim na 100 km. pasem lasów, łąk i urodzajnych gruntów, stanowiących doskonały teren kolonizacyjny. W lasach rośnie „quebracho", drzewo „twardsze od stali", dające olbrzymie ilości garbnika i przez to bardzo cenione. Łąki stanowią doskonałe pastwisko. Gleba w tym klimacie nadaje się do uprawy bawełny, ryżu, tytoniu, kawy, herbaty peruwjańskiej, zwanej „yerba mate" i t. d. Nic też dziwnego, że kolonizacja peruwjańska posuwała się wzdłuż rzek Paragwaju i Pilkomaja, aby po przebrnięciu niedostępnych mo-



MAPA CHACO PÓŁNOCNEGO

kradeł — rozlać się szeroko po urodzajnych ziemiach i nadających się do eksploatacji lasach północnego Chaco.

Aby podtrzymać osadników, urządzono na tym terenie strażnice wojskowe, szumnie zwane „fortami". W rzeczywistości są to zbite z bali „quebracho" chatyny, nie zawsze nawet otoczone częstokołem. Garnizony ich składają się z kilkudziesięciu żołnierzy pod dowództwem oficera lub sierżanta; w bezludnym tym kraju muszą sami dbać o swe pożywienie: uprawiać rolę, hodować bydło, w najgorszym razie zdobywać pokarm polowaniem i rybołówstwem.

Pionierstwo paragwajczyków w Chaco powstrzymane zostało wskutek wybuchu morderczej wojny w 1865 roku. Po wielu perypetjach dziejowych prezydentem Paragwaju wybrano w 1844 roku Don Carlos'a Antonio Lopez; szczęśliwie rządził on krajem przez lat dwadzieścia i przed śmiercią... mianował swym następcą syna — Don Francisco Solano Lopez. Ten prezydent dziedziczny, przejęty ideą imperjalistyczną, wplątał się w wojnę z trzema naraz potężnymi sąsiadami: z Brazylją, Argentyną i Urugwajem. Trwała ona pełne pięć lat, pochłonęła około 600 tys. obywateli, t. j. niemal wszystkich mężczyzn powyżej lat 15 i zakończyła dopiero śmiercią na polu bitwy ambitnego Lopeza oraz okrojeniem ze wszystkich stron terytorjum państwowego.

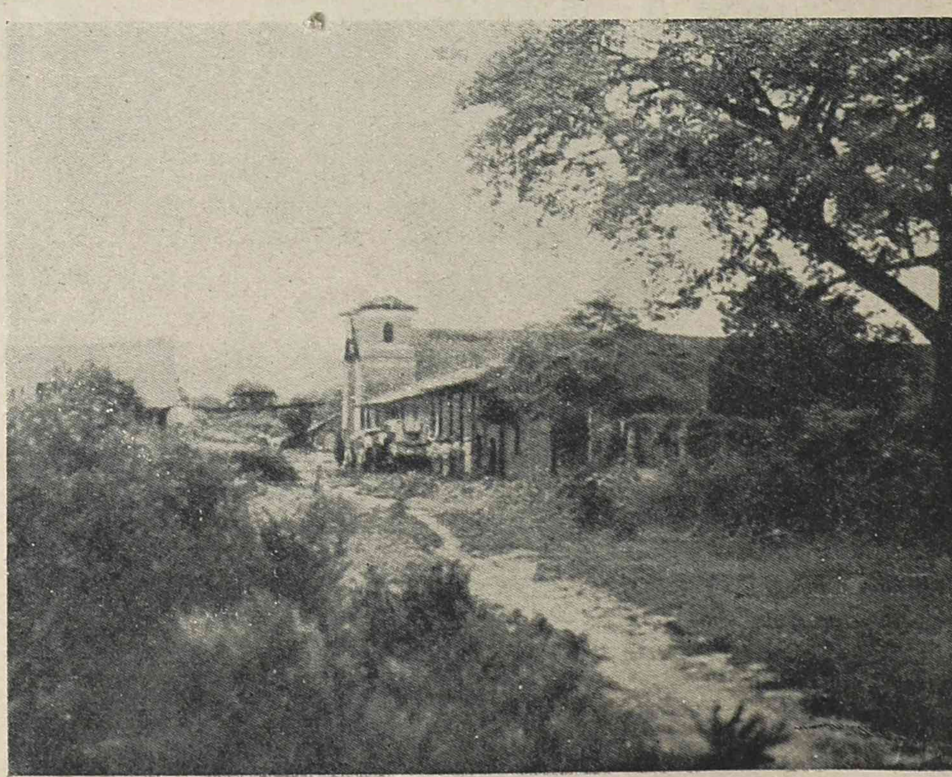
Ledwie zaczął Paragwaj wylizywać się z tej strasznej klęski, gdy z przeciwnej strony nowe zawisło nad nim niebezpieczeństwo. Boliwja w roku 1879 przegrała wojnę z Chili i straciła wybrzeże Pacyfiku od Arica do Antofagosta. Odepchnięta od oceanu Spokojnego, pozbawiona dostępu do morza, zwróciła swe aspiracje państwowe w kierunku wschodnim, ku Chaco, przypominając sobie zadawnione prawa terytorjalne do tego kraju i uzupełniając je potrzebą posiadania portu na Paragwaju dla komunikacji wodnej ze światem.

Osłabiona republika paragwajska szła na ustępstwa: w 1879 roku, w 1894, w 1907 — przychodziło do oznaczenia linji demarkacyjnej, dzielącej Chaco między dwoma państwami *). Żaden z tych układów nie był ratyfikowany przez Boliwję, która w gruncie rzeczy pragnęła zagarnąć całe Chaco.

Paragwaj nie mógł iść w samozaparciu tak daleko; w ciągu wieków skolonizował on i zaprowadził administrację wojskową w Chaco; porozdawał tam koncesje leśne,

*) Patrz mapkę powyżej.


TYPOWY KRAJOBRAZ Z CHACO


FARMA KOLONISTY W CHACO



MĘŻCZYZNA



CHARAKTERYSTYCZNE OSIEDLE TUBYLCÓW



DZIEWCZYNA

pobudował trochę dróg; czyż miał nadto dopuścić, aby obce państwo podchodziło tuż do rzeki Paragwaju, która stanowi główną jego arterję komunikacyjną i nad którą leży stolica państwa—Asuncion, oraz drugie co do ważności miasto handlowe — Concepcion.

Sprawa uległa nowemu zaostrzeniu, gdy w 1822 r. odkryto w Chaco źródła naftowe. Wiadomo, że wszędzie, gdzie wytryśnie nafta, musi polać się krew. Od tego czasu Boliwja nie zadowoliła się rewindykacjami słownemi, lecz poczęła sama budować „forty" i obsadzać je wojskiem. Strażnice paragwajskie i boliwijskie znalazły się naprzeciwko siebie, przeplatały się nieraz, tworząc dziwną plątaninę linji obronnych.

Aż w 1927 roku Paragwaj postanowił zademonstrować światu swe prawa do Chaco i wypuścił znaczki pocztowe z mapą wielkiego Paragwaju, obejmującego całe Chaco, wraz z ustąpionemi Boliwji na podstawie nieratyfikowanych układów, ziemiami. Wnet ukazały się nowe marki Boliwji także z mapą państwa, zawierającą całość spornego terytorjum i napisem „Chaco biliwijskie".

Tego było dość, aby zbliżone do siebie forty zaczęły ostrzeliwać się i urządzać niespodziane napady. W nocy 5 grudnia 1928 r. oddział paragwajski zdobył fort Vanguardia, zabijając 20 boliwijczyków, stanowiących jego załogę. Wojsko Boliwji wkroczyło w głąb Chaco i zdobyło fort Boqueron.

Wobec groźby wojny sprawą zajęła się Liga Narodów i zaproponowała arbitraż pięciu niezainteresowanych państw amerykańskich: Stanów Zjednoczonych, Meksyka, Kolumbji, Kuby i Urugwaju. Komisja obradowała w Waszyngtonie i po rocznych debatach nakazała obu stronom powrót do status quo z przed grudnia 1928, zanim meritum sporu terytorjalnego będzie rozpatrzone. W tym celu zebrała się ponownie komisja arbitrażowa z udziałem obu stron zainteresowanych, radząc nad boliwsko-paragwajskim paktem nieagresji. Nagle zadymiły forty i gruchnęły strzały. W lipcu r. b. boliwijczycy zaatakowali fort Carlos Antonio Lopez, wskutek czego delegacja paragwajska demonstracyjnie opuściła konferencję Waszyngtońską. Natomiast przedstawicielstwo Boliwji złożyło deklarację, że to właśnie paragwajczycy napadli na ich fort Santa Cruz. — I sprawdzaj teraz w tem pustkowiu, gdzie prawda: kto jest napastnikiem, a kto znajduje się w stanie legalnej obrony?

Odpowiedź na te pytania zdecydowałaby o werdykcie międzynarodowym. Niestety, niema żadnych pewnych danych, aby ją powziąć.

Jednem się trzeba pocieszać: wojna dwóch państw południowo-amerykańskich nie będzie zbyt krwawa. Paragwaj ma 3 tysiące stałego wojska, Boliwja — 7 tys. Po przeprowadzeniu mobilizacji jeden kraj może wystawić 20-tysięczną armję, drugi — 50-ciotysięczną. W takich rozmiarach rozgrywający się konflikt nie zagraża pokojowi świata. Pozwala natomiast, jakby w laboratorjum, sprawdzić skuteczność środków, jakiemi rozporządza Liga Narodów, Unja Panamerykańska i wszystkie pakty międzynarodowe, celem zapobiegania wojnie i załatwiania sporów międzypaństwowych drogą pokojową. Dotychczas te studja laboratoryjne nie dały pozytywnych wyników.

W. G.



FORT VANGUARDIA, ZDOBYTY PRZEZ PARAGWAJCZYKÓW Fot. „Illustration"

Rozwódka teraz i dawniej

Znamy ją wszyscy. — Od mężatek różni się tem, że nie jest przy mężu, tylko przy nadziei zdobycia męża. Od panien różni się tem, że jest lepiej ubrana i starsza. Na ulicy i w kawiarniach spotykamy ją często; nosi na głowie — poza Zakopanem — mały góralski kapelusz i mogłaby, jak góral, zaśpiewać: „Młodość moja, młodość, kajześ się podziała?"

Na fifach, bridżach i dancingach widzimy ją także, przez wszystkich przyjmowaną i lubianą. Wolność, o którą się tak ubiegała, zaczyna jej po kilku latach ciężyć, jak cenne futro w lecie. O ile, jako młoda mężatka, postarała się o jedno lub dwoje małych bezrobotnych, sytuacja jej nie jest do pozazdroszczenia, ludzie nie mogą jej darować, że jest matką, i wypominają jej to na każdym kroku.

— Co? — mówią ze szczerem oburzeniem — ona chce jeszcze raz wyjść za mąż, mając córkę prawie w swoim wieku? Albo:

— Ma babina dwoje dzieci, i zamiast siedzieć spokojnie w domu, w romansidła się bawi i wytańcowuje po nocach,

Tak lubią mówić starsze panie, które, kochając dzieci, powinnyby raczej uważać taniec matki-rozwódki za objaw radości z powodu posiadania w domu dwojga zdrowych pociech. Te panie, które już u schyłku życia pamięć zawodzi, bardzo często identyfikują dzieci z mężem:

— Ma dzieci, to naco jej mąż? — mawiają, wzruszając ramionami.

Niestety, dzieci nie zastępują w zupełności męża, nawet najbardziej krzykliwego i dlatego jedyną myślą przewodnią rozwodnisi jest wziąć jaknajprędzej ślub, wszystko jedno jaki, nawet mahometański, byleby — nie w cztery oczy, bo taki nie daje żadnych praw, a kobieta, jak wiadomo, lubi się oprzeć na ramieniu prawa i tem samem zapewnić sobie nieburzliwą starość.

Rozwódka dzisiaj jest zjawiskiem równie częstem, jak mężatka lub panna, i nikt jej się nie dziwi, ani też nikt jej tego stanu nie ma za złe. Dawniej, to znaczy, kiedy nasze matki były mężatkami, rozwódka była czemś wysoce niestosownem i zakazanem, o czem się przy młodych panienkach nie mówiło. Jeśli w jakimś snobistycznym domu dorastająca panna wyrwała się przypadkiem ze słowem „rozwódka", matka spoglądała na nią przez dwa szkiełka, jak wówczas, kiedy dziewczę pokazywało przy gościach kostkę od nogi, i mówiła:

— A któż to cię, moje dziecko, nauczył podobnych wyrażeń?

Z moich dziecinnych czasów pamiętam tylko dwie rozwódki; jedną z nich była dama z dobrego towarzystwa, pani F., której z powodu rozwodu nikt nie przyjmował. Bo i jakże? — „Kobieta samotna", a kobieta samotna, wiadomo, nie pustelnik żaden; panowie do niej przychodzą i u niej przesiadują, a pan w owych czasach nie był takiem łagodnem domowem zwierzęciem, jak teraz, był niebezpieczny! Dzisiaj, kiedy go się już nikt nie boi, przestał nim być, tak jakby prawdopodobnie lew przestał nim być, gdyby go się ludzie przestali bać. Pani F. miała dach nad głową z czarnych włosów, a na tym dachu wronie gniazdo z fijołkami. Zdaleka już można ją było poznać po zapachu „Violette de Parme". Na wroniem gnieździe nosiła woalkę w czarne grochy, wśród których największemi były jej czarne niepokojące oczy. Młodzi ludzie, bywający u niej, nie mieli u matek dobrej opinji:

— To ten, co bywa u rozwódki — mówiło się o takim panu.

Gdzież naszym dzisiejszym rozwiedzionym paniom, które widzimy latem w stroju kąpielowym, a zimą na śniegu w męskich portasach, upodobnione do małych kominiarzy, równać się z tym chodzącym grzechem.

Drugą znajomą rozwódką była dama na okładce nut: „Die Geschidene Frau"; była ona cienka w pasie, jak bąk, miała na sobie białą suknię, a na upudrowanej głowie słomiany powozik napełniony różami. Im lżejszego autoramentu była ówczesna dama, tem większe i bardziej kunsztowne dziwactwa nosiła na dwupiętrowem uczesaniu. Przypominały one trochę krajowców afrykańskich, którzy do walki z lwem nakładają na głowę straszliwe ozdoby, żeby oszołomić króla zwierząt i ogłupić do reszty. Czyż wobec takiego kapelusza — genre faetonik podczas kwiatowego corsa — albo taburetu aksamitnego z lisią kitą mógł mężczyzna pozostać spokojnym? — A jeszcze, gdy w dodatku do tych mebli na głowie nie było obok męża, to można było naprawdę głowę stracić.

Po poznaniu takiej rozwódki narzeczony skromnej gęsiny ze wsi nie miał już chwili spokoju, marzył o tem, żeby u siebie, w swojem mieszkaniu powyciągać z fascynującej rozwódki wszystkie rożna, któremi taki kapelusz przytwierdzony był do jej koafiury, i poczuć zapach jej włosów (włosy myło się wówczas raz na miesiąc). Odszpilkowywanie powoziku z różami albo gondoli z sową w garsonierze było oznaką, że może się zacząć rozdzieranie szat, które znamy wszyscy z opisu ówczesnych pisarzy.

Dzisiaj, podczas ogólnego obchodzenia kryzysu, mężczyzna atakujący wziętą na raty suknię byłby poprostu wyrzucony za drzwi wysportowaną ręką współczesnej rozwódki. Wówczas, żaden tak zwany „szał" nie mógł się bez tego obejść, i może właśnie dlatego było o wiele więcej cnotliwych kobiet, niż obecnie. Poprostu żałowały biedactwa porządnych, wyprawnych sukien.

Pojęcie „niebezpiecznego mężczyzny" też prawdopodobnie pochodzi z tych czasów, kiedy z drogocennych toalet leciały wióry. Oszalały z miłości młodzieniec zrywał często z całą rodziną i uciekał ze swojem rozwiedzionem bóstwem na Jasny Brzeg, albo w góry, do których rozwódka kładła długą spódnicę z paskiem o przytwierdzonych do niego niepotrzebnych przedmiotach, zwanych breloczkami, a które przypominały skalpy i amulety, przywieszone do pasa jakiegoś wodza Czerwonoskórych. Czyż można było znudzić się takiem cackiem, które przy każdym ruchu kołatało i dzwoniło owemi ozdóbkami, jak owca?

Rozwódek było w dawniejszych czasach bardzo mało, zato było dużo młodych i wesołych wdówek, które przeszły do lekkiej literatury i muzyki. Z chwilą jednak, kiedy rozwody weszły w życie, jak „Elektrolux", mężowie przestali umierać, i dziś wesołe wdówki są rzadkością. W dzisiejszych czasach, zamiast do grobu, wpędzają żony mężów do auta, które kieruje swoje koła w stronę mieszkania znajomego adwokata, specjalisty od rozwodów bez zgody obu stron.

Smutno to przyznać, ale nic nie działa tak na zmysły przeciętnego pana, jak mąż. Kobieta ozdobiona mężem ma o wiele więcej szans zrobienia dobrego mariażu, niż kobieta samotna. Przedewszystkiem z samotną rozwódką nie ma tej dzikiej przyjemności, jaką jest dla zdrowo myślącego młodzieńca urządzenie katastrofy pod Rogowem, czyli przypięcie mężowi swojej ukochanej rogów. Mężczyźni pozatem zawsze i wszędzie szukają niebezpieczeństw. Zabawa z mężem w chowanego podoba się właściwie kochankowi, i trwałaby czas dłuższy, gdyby nie „ona", która pewnego pięknego dnia mówi, bez poprzednich przygotowań:

— Powiedziałam wszystko naszemu mężowi, nie mogłam dłużej żyć w kłamstwie, co teraz będzie?"

Cóż ma począć wówczas nawet drugorzędny dżentelmen, jak nie oświadczyć się mężowi o rękę jego żony, mówiąc patetycznym głosem:

— Miałem od początku najuczciwsze zamiary.

Uczciwość jest rzeczą względną, niemniej mąż, który już oddawna miał dosyć tego wszystkiego, zgadza się zwykle na ową propozycję, zastrzegając się tylko, że o żadnych alimentach mowy być nie może.

Z samotną rozwódką niema właściwie żadnego rzeczywistego pretekstu do małżeństwa, nikt im nie przeszkadza, ludzie albo o ich miłości nie wiedzą, albo dawno się na nią zgodzili, nazywając to w potocznym języku „chodzeniem":

— On chodzi już z nią od dwóch lat" — mówią, chociażby ich widywali zawsze siedzących wygodnie w kinie.

Magdalena Samozwaniec

SEWILLA
w przededniu nieudanego zamachu stanu

Głośny film „Sewilla — miasto Miłości" dawał nieścisły obraz tej stolicy Andaluzji. Niema tam miasta - ogrodu, jak to sobie w fantazji przedstawiał reżyser amerykański. Podróżnego, przybywającego po raz pierwszy do Sewilli, ogarnia narazie rozczarowanie. Samo miasto przedstawia się dosyć banalnie i zgoła nieromantycznie. Dokładniejsze dopiero zwiedzenie zmienia ten sąd niekorzystny. Prześliczne „patia" — podwórza miłe sprawiają niespodzianki. Coś podobnego jak w Marokku: dom, zzewnątrz niepozorny, we wnętrzu okazuje się pałacem z bajki.

Alkazar, pałac maurytański, choć nie dorównywa przepychem słynnej Alhambrze w Grenadzie, robi jednak wielkie wrażenie przez lekkość swych kolumn i koronkowe rzeźby sklepień. Jak potwornie brzydkiemi wydają się wytwory współczesnego budownictwa w porównaniu z wytwornością tego pomnika sztuki maurytańskiej. Opuszczone apartamenty królewskie, umieszczone w górnych piętrach Alkazaru, dobudowane już później, również wzbudzają duże zainteresowanie. Obok pięknie utrzymane przepyszne ogrody, pełne kwiatów i palm. Stąd widać słynną „Giraldę", strzelistą wieżę wspaniałej katedry sewilskiej. Wieża ta została przerobiona z dawnego minaretu.

Jak wygląda ulica Sewilli, która stała się ostatnio gniazdem spisku gen. Sanjurjo? W przeddzień nowego zamachu stanu nic napozór nie zdradzało nadciągającej burzy.

W Sewilli rzuca się w oczy szczególnie wielka ilość klubów. Mieszczą się one w parterowych lokalach przy głównych ulicach miasta; poza olbrzymiemi szybami widać długie szeregi wygodnych foteli, zapełnionych przez starszych, eleganckich mężczyzn o rasowych twarzach. Kluby te należą przeważnie do arystokratów hiszpańskich lub byłych wojskowych, dymisjonowanych przez rząd republikański. Być może, że w tym czasie, gdym nie oglądał, omawiano tam szczegóły szykującego się zamachu stanu.

Hiszpanie są naogół bardzo spokojni; temperamentu ich nie można porównywać np. z usposobieniem południowych Włochów; ale zagrożeni w swej wolności, skłonni są do czynów nieobliczalnych.

Nie można powiedzieć, żeby sam ustrój monarchistyczny był znienawidzony w Hiszpanji. Hiszpanie boją się powrotu nietyle króla, co terroru militarnego, który panował za rządów gen. Primo de Rivery. Nic też dziwnego, że ostatni zamach na ustrój republikański, przygotowywany przez byłych wyższych wojskowych, spot-



UROCZYSTA PROCESJA W SEWILLI W WIELKIM TYGODNIU



URODZIWE SENORINY PO WYJŚCIU Z KOŚCIOŁA



SCENA ULICZNA: OBJUCZONE OSIOŁKI



UPALNY PORANEK W SEWILLI

kał się z żywym odruchem protestu większości społeczeństwa.

Hiszpanie są bardzo szczerzy, otwarci, uprzejmi. Cechuje ich pewne przeczulenie na punkcie dumy narodowej. Nieznaczna bodaj krytyka wywołuje żywe objawy protestu. Dla przykładu przytoczę, że korespondencje, umieszczone niedawno w jednym z dzienników warszawskich, w których autorka wspomina o paleniu klasztorów i profanowaniu ołtarzy wywołały ostry protest nawet na łamach prasy zachowawczej Hiszpanji. A trzykrotnie zdarzyło mi się, że w związku z artykułami temi zapytywano mnie, dlaczego Polska tak nieprzychylnie jest usposobiona do Hiszpanji. Spalenie kilku kościołów w początkowych okresach rewolucji — jak mi tłumaczono — nie było objawem antyreligijności, ale wyrazem protestu przeciwko pewnej grupie duchowieństwa, biorącego udział czynny w polityce.

Religja w Hiszpanji nie ulega prześladowaniu, ani osłabieniu; świadczą o tem pełne w niedzielę i święta kościoły i liczne procesje, odbywające się publicznie jaknajspokojniej.

Cechą charakterystyczną ulicy Sewilli są piękne pojazdy. W Andaluzji spotyka się często wozy, zaprzężone w pięć koni, jeden za drugim, których uprząż błyszczy w słońcu, a dźwięczny głos dzwonków stanowi miły kontrast z hałaśliwemi trąbkami samochodów. Juczne osły, nad miarę przeciążone, postępują powoli w szeregach jeden za drugim; pierwszy, jakby przewodnik, daje swym dzwonkiem znać o ciągnącym korowodzie.

Gdy byłem w Sewilli na dni kilka przed wybuchem zaburzeń, nie przypuszczałem, że stanie się ona terenem krwawych zajść. Jednak policja tajna była widać już wtedy na tropie spiskowców, o czem świadczyły liczne aresztowania wśród byłych wojskowych, oraz nieustanne sprawdzanie dowodów osobistych w pociągu.

Teraz, gdy piszę te słowa, zarówno w Sewilli, jak i w całej Andaluzji nastąpił spokój i wszystko powróciło do normalnego trybu, a wolność, którą tak cenią Hiszpanie, nie jest zagrożoną.

Doc. Dr. Franciszek Goebel



BRAMA, ZW. „CASAS CAPITULARES"



WIEŻA KATEDRALNA „GIRALDA"

CO CZYTAĆ?

„SIDDHARTHA".

Herman Hesse, znany pisarz niemiecki, autor poczytnych utworów beletrystycznych, staje przed polskim czytelnikiem ze swoją opowieścią o Siddharth'cie. Książka ta w Niemczech uważana jest za beletrystyczny wykład mądrości hinduskiej. Postać tytułowa i jej losy symbolicznie ukazują dzieje każdej duszy ludzkiej, poszukującej swego szczęścia, prawdy, nasycenia. Siddhartha, jako syn kasty braminów, wysoko jest postawiony w obliczu własnego społeczeństwa. Porzuca jednak ojca i matkę, by wśród ascetów, żebraków odnaleźć niezawodną treść życia. Idzie więc wraz z przyjacielem swoim Giovindą do wędrownych ascetów-samanów i ćwiczy się wśród nich w mądrości kontemplacji. Niedługo pozostał wśród nich Siddhartha. Pociągnęła go nauka Gottamy. Słuchał jej w gaju leśnym, lecz nienasycona, łaknąca jego dusza opuściła i Gottamę, boskiego nauczyciela. Wrócił do miasta, by w ramionach kurtyzany Kamali snuć zupełnie inny żywot. Pozostawił przyjaciela Giovindę wśród wyznawców i uczniów Gotamy, a sam zajął się handlem, grą w kości, smakoszostwem, używaniem życia.

I te doczesne rozkosze nie zatrzymały go na zawsze w ramionach Kamali. Wrócił do samotnej chaty przewoźnika nad rzeką, by od biegu jej wód uczyć się dalej mądrości i poznania życia. Siddharta pozna jeszcze wiele uczuć ludzkich. Zostanie i on z kolei porzucony przez własnego syna. Przejdzie przez życie, wyczerpawszy z kielicha doznań wszystkie wrażenia i cierpienia ludzkie. Spotka się z przyjacielem Giovindą i zrobi jakgdyby bilans swoich doświadczeń. Powie on ascecie:

„nauki mistrzów są dla mnie niczem, nie mają one ani twardości, ani miękkości, ani barw, ani brzegów, ani zapachu, ani smaku".

A zresztą Siddhartha niewiele mniema i o własnych myślach. Cała mądrość jego sprowadza się do oświadczenia: „Mnie jedynie na tem zależy, aby móc świat kochać, nie pogardzić nim, nie nienawidzieć ani jego, ani siebie, móc na niego i na siebie i na wszystkie istoty spoglądać z miłością, ze czcią i z podziwem" (str. 221).

Zajmującą tę opowieść o losach Siddharty z pietyzmem przełożył Kazimierz Błeszyński. Przekład swój poprzedził wstępem, który niewątpliwie zaważy na ujęciu tej opowieści przez czytelnika.

E. C.

Krynica w słońcu

(Korespondencja własna „Świata").

— Proletarjusze z całej inteligencji spotykają się w Krynicy — powitał mnie z kubkiem w ręku w galerji źródlanej jeden z najwybitniejszych artystów sceny polskiej.

Jakoż istotnie, choć pesymiści zapewniali, że w roku bieżącym zgoła lata nie będzie i nikt nigdzie nie wyjedzie, stało się całkiem inaczej. Niezgorzej się dzieje w większości uzdrowisk naszych. I słońca jakby więcej, niż bywało, słońca w najlepszym gatunku.

Dodajmy, iż tylko niedowiarek zupełny może jeszcze nie wierzyć w skuteczność wód polskich i wyżej stawiać zagraniczne. Jeden z dyplomatów naszych, goszczący w Krynicy, opowiada, iż uzdrowisko to doszło do takiego udoskonalenia, że w niektórych pensjonatach gra się w bridge'a na 60 stolików! I to z kim? Dyplomata stwierdził kompetentnie, iż ma partnerów, z którymi grywał w latach poprzednich w Karlowych Warach, w Marjańskich Łaźniach, w Vichy, w Contrexeville czy w Baden.

I jeszcze jedno: nic to, iż wielu rodaków nie wyjechało tego lata zagranicę; ciekawsze, iż zjechało do Krynicy sporo gości zagranicznych. I z Czechosłowacji, i z Francji, i z Węgier, i z Grecji, a nawet około setki mamy tu obywateli Stanów Zjednoczonych. To już jest coś! A dlaczego wszyscy ci cudzoziemcy przyjechali do Polski? Jedno, że taniej, po drugie — szerzy się wiara w skuteczność uzdrowisk polskich i to nietylko Krynicy.

Ma Krynica przeróżnych ponęt niemało: kuracyjnych, towarzyskich, artystycznych, ba, nawet przyjemność zgoła nieoczekiwaną — polowanie. Zajęcy i kuropatw wbród, sporo przepiórek, no i z grubszego zwierza: rogacze, kozy, dziki. Dla amatorów są łowy na borsuki. Polują tu obywatele miejscowi i niekiedy ministrowie i wojewodowie w godzinach od kuracji wolnych. Z dzikami, jak tu powiadają, sporo jest udręki, bo trzyma się to kupą pogranicza czeskosłowackiego. Gdy dojrzą myśliwych lub śmiech ich usłyszą, nie baczą, że to są osoby urzędowe i ławą przemycają się bez paszportów i oclenia, chociaż według prawa ani szczeciny, ani szynek, ani skór bez cła przewozić nie wolno. Głupsze są rogacze. Te dają się strzelać.

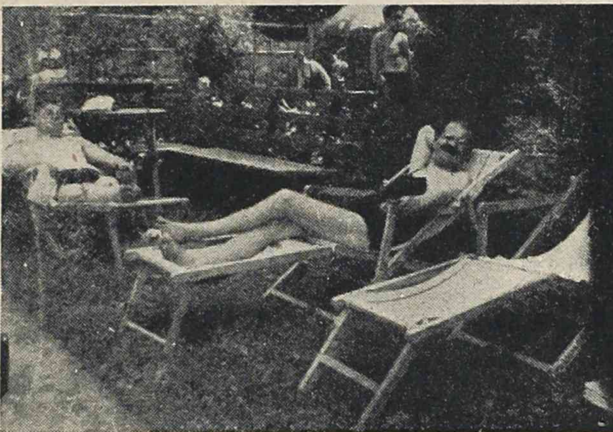
Dla gości żądnych mniej męczących rozrywek ma Krynica teatr lwowski pod kierunkiem posła Wiliama Horzycy, stałe kino, szereg dancingów dziennych i nocnych, a także koncerty, wieczory śmiechu i t. d., nie mówiąc o orkiestrach, grających na deptaku przy zdrojach oraz w salach restauracyjnych i kawiarnianych. Są też wystawy obrazów. Do najciekawszych należy wystawa okrężna rodaka naszego, stale zamieszkałego w Paryżu, Artura Szyka.



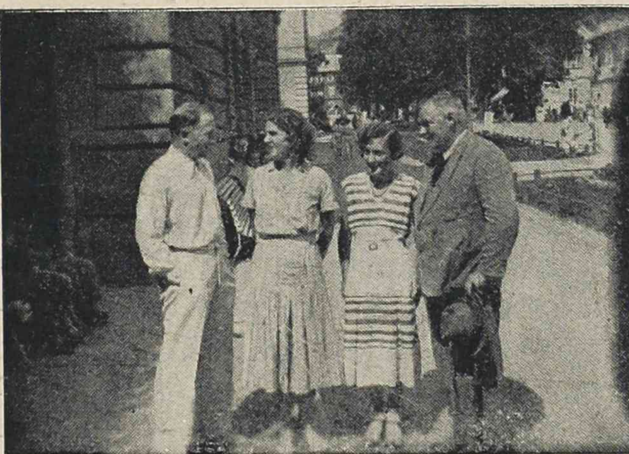
Wojewoda stołeczny W. Jaroszewicz i komendant P. Czyniowski badają ruch kuracjuszek na deptaku



Ludwik Solski i Arnold Szyfman przyrzekli sobie, że nie będą mówić w Krynicy o teatrze. Ale nie wytrzymali.



Minister Leon Kozłowski wypoczywa po reformie rolnej i stagnacji skarbowej.



Węgierko, Hanka Daszyńska, Marjan Dienstl-Dąbrowa i jego córka naradzają się, co robić z resztą wieczoru.



Wice-prezydent m. Łodzi, dr. Wlekliński, art.-mal. A. Szyk, Jul. Tuwim i red. S. Kempner po opiciu się „Zuberem" wspominają dobre czasy łódzkie.

Krynica pozwala zapominać gościom o wszelkich kłopotach i udrękach. To właśnie jest jednym z celów kuracji. Dozwolone są tylko specjalne tematy rozmowy. Panie (w cudownych toaletach, jakie możnaby pokazać w Biaritz, w Trouville czy w Ostendzie) mówią o kłopotach wiecznej ondulacji i o sposobach osiągnięcia wagi motylej, choć ochudzanie się nie jest już w modzie. Pozatem kronikę dnia stanowi, kto komu asystuje, kto kogo i z kim zdradza. Zjechały tu bowiem wszystkie znakomitości polskie ze świata politycznego, artystycznego, literackiego i gospodarczego. Tematem rozmów panów są kwestje kiszkowo-żołądkowe. Od tego zależy humor i menu dzienne. Pozatem zwierzanie się ze wszelkich dolegliwości, co się zazwyczaj kończy w barze. Bary są ogólnem miejscem rendez-vous pań i panów. Godzi się to jednak jakoś z postulatami kuracji.

Bardzo poważną rolę w rozrywkach stanowi słońce pod różnemi postaciami: na deptaku, w kąpielach słonecznych, na plaży z basenem, nad Czarnym Potokiem we wsi Krynica. Są wreszcie plaże naturalne nad wszystkiemi potokami. Te są może najbardziej oryginalne.

Oto pani Lala ubiera się w kostjum kąpielowy lub piżamę dernier cri, czyli z wycięciami, jakich by nie stworzyła najbujniejsza fantazja męska, narzuca na to coś, co się łatwo zdejmuje, wsiada w auto i każe się wieźć do Muszynki, Powroźnika czy Mochnaczki. Po drodze spotyka się sto innych aut i fiakrów, a we wszystkich mnóstwo pięknych pań ubranych plażowo-kąpielowo. Wylega wnet

DYREKTOR NACZELNY KRYNICY



Inż. Leon Nowotarski urzęduje mimo upałów.

mnóstwo dzieci, pasących krowy, kozy lub gęsi. Pani Lala lubi z temi dziećmi rozmawiać; zabiera ze sobą garść pięciogroszówek, zmienianych u sprzedawców czasopism, torebkę karmelków i precelki, czem czyni niesłychaną uciechę spalonym na murzynków maleństwom. A wieść o tych darach ściąga coraz liczniejsze zastępy, aż pani Lala zdumiona zapytuje towarzysza (też w kostjumie kąpielowym):

— Boże, skąd się na świecie taka masa dzieci bierze?...

Towarzysz dla wyjaśnienia wskazuje parę bocianów, brodzących na łące nad potokiem.

Czasami sensację sprawia jakaś Lercia Siupściówna, tancerka z „Rubinowego Smoka", którą przywiózł na kurację pan w średnim wieku (żona kąpie się w Żegiestowie lub w Ciechocinku). Lercia jeździ z brawurą własnym samochodem pana w średnim wieku. Gdy Lerci ktoś wyjaśnia, że rydze rosną w lesie, smukłouda kapłanka Terpsychory jest obrażona.

— Niech pan nie buja... ja nie jestem taka głupia...

Lercia sądzi, że rydze sadzi się na polu, jak owies lub ziemniaki.

Pan w średnim wieku jest o Lercię szalenie zazdrosny, więcej niż o żonę, która się kąpie w Ciechocinku. Bo Lercia lubi flirt. Ale nie chciałaby ryzykować i stracić „sępatji" pana w średnim wieku, który ma własne auto. Gdy więc widzi, iż przyjaciel jest odęty i nic nie mówi, paląc grube cygaro, pisze doń kartkę podczas kolacji:

— Słuchaj, o co ci chodzi?... Ty nie bądź dla mnie jak ten *Świnks*...

Coś mu szepce z uśmiechem do ucha. Pan w średnim wieku rozpogadza się.

— Proszę o dzban kruszonu — woła głośno, a pocichu, żeby nikt z urzędu podatkowego nie usłyszał, dodaje — może być z szampana.

— Szampan? — melancholijnie mówi restaurator. — Przed 3 laty więcej szło przez jeden wieczór na dancingu, niż teraz przez cały sezon. Tylko piwo i wódka mają odbyt i dlatego dusza ludzka tak obniża swe loty...

Jan Czempiński

Pieśń i gwara Warmji

Naogół niewiele wiemy dzisiaj o kulturze Warmji, tej dawnej dzielnicy rdzennie polskiej, przywłaszczonej przez Niemcy i włączonej do Prus Wschodnich. Pomimo systematycznej germanizacji, uporczywie stosowanej, jednak nie wymarł tam duch polski; raczej, przeciwnie, wzrasta z każdym dniem. Obok materjału etnograficznego, istnieje tam kultura duchowa polska, rozwijająca się w słowie i w piśmie. Ostatnio obdarzył nas p. Augustyn Steffen sporym tomem „Polskich pieśni ludowych z Warmji"*), mających wartość nietylko literacką, artystyczną, albo regjonalną, ale przedewszystkiem wartość językową i narodową, a stwierdzają one przywiązanie tamtejszej ludności do utraconej Ojczyzny — Polski.

„Daleka Warmja — pisze w przedmowie prof. Bystroń — oddalona terytorjalnie, oddzielona granicą polityczną, znajdująca się od tak długich lat w zasięgu wpływów obcej kultury, staje się bliską, znana, drogą. Te same myśli, te same uczucia znajdują wyraz w pieśniach i poprzez odległość nawiązuje się bliskie, ludzkie, serdeczne porozumienie".

Dwaj uczeni polscy, w osobach prof. Bystronia i prof. Nitscha, poświęcili studja pieśni ludowej w Polsce, oraz djalektom i gwarom polskim; praca p. Steffena jest jakby nową cegiełką do tego fundamentu kulturalnego. Mało ludzi w Polsce zajmowało się dotychczas Warmją. Wprawdzie istnieje kilka rozpraw historycznych i szkiców obyczajowych Ks. W. Barczewskiego, oraz wiele badań z zakresu lingwistyki słowiańskiej, np. wyczerpująca monografja prof. Lehra-Spławińskiego: „Gramatyka połabska" (Lwów, 1929. Nakład K. S. Jakubowskiego). Są to raczej prace pisane dla jednostek wykształconych, niż dla ogółu. Dopiero p. Steffen dał nam cały obraz obyczajów i zamiłowań Warmji.

Autor podzielił pieśni ludowe z Warmji na cztery cykle: 1) „Pieśni obrzędowe", do których wliczył pieśni weselne, zapustne, dożynkowe i Marcinki, 2) „Pieśni powszechne", t. j. „Dumy", pieśni miłosne i żałobne, pieśni komiczne, rodzinne i kołysanki, 3) „Pieśni zawodowe", a więc pasterskie (sielanki regjonalne), pieśni rolników, robotników leśnych, żołnierskie, szewców, pieśni dziadowskie, złodziejskie i pijackie, wreszcie 4) „Varja". Znajdują się tu pieśni patrjotyczne, a między innemi „Polacy kulkamy, Moskale kosamy":

Kompanjenki, kompajenta,
Gdzie też wyszcze bywali?

Byliszmy łu Moskala,
Byliszmy łu niégo na prawach.

Ty, Moskalu, Ruszynie,
Łoddoj Polske, bo zginiesz.

My Polacy kulkami,
A Moskale kosamy.

Oj, Mowacz my tako mnicz
By Moskala pożészcz.

Albo:

My Polacy, nieboracy
Iidziéwa do boju,
A wy Mniamce, cudzoziamce
z sidłami do gnoju.

Właściwie djalekt Warmjaków jest mieszany, bo składa się z djalektów: chełmińskiego i mazowieckiego. Prof. Nitsch wylicza trzy grupy djalektu, mianowicie: lubawski, ostródzki (różny od mowy Mazurów pruskich) i warmiński, ostatni z nich najbardziej archaiczny i najbardziej mazowiecki.

Djalekt Warmjaków jest zmiękczony, np. wymowa dwugłosek „Pi, bi, fi, wi", jak „pś, bź, ś, ź", więc „W psizie, bzić, ksioski zziandły", odpowiadają wyrazy: „w piwie, bić, kwiatki zwiędły".

Warmjanie wymawiają „ę", jak nosowe „a", np. „zziandły", „gołambzie, majża, sia" zamiast „zwiędły, gołębie, męża, się". Również używane jest u nich t, z, é, i ó pochylone. Zauważyć należy, że Warmjanie używają głosek przeważnie dźwięcznych, oraz bardzo często półotwarte „ł", dlatego całe wyrazy ze względu na upodobnienia wsteczne, postępowe i międzywyrazowe są dźwięczne. „Druga cecha wschodnio-warmińska — zauważył prof. Nitsch—to stwardnienie ś, ź, ć, dź (głosek średniojęzykowych), które wskutek tego przeszły w „sz, ż, cz, dż (głoski szczelinowe i zwarto-szczelinowe) np. Łodpuszcz — odpuść, żedżała — wiedziała, przyj — pij, bracze

*) *Augustyn Steffen:* „Zbiór polskich pieśni ludowych z Warmji" (Tom I, wstępem zaopatrzyli prof. Jan St. Bystroń i prof. K. Nitsch. — Nakładem Tow. Pomocy dzieciom i młodzieży polskiej w Niemczech, 1931, str. 252 + XVIII).

— bracie. Albo zatrata miękkości „ń" (średniojęzykowego) w „n" (przednio — językowo — zębowe), np. żysznowego — wiśniowego, mne mnała — mnie miała. Oczywiście możnaby dużą rozprawę napisać na temat djalektów Warmjan, lecz nie jest to naszem w tej chwili zadaniem, wypadnie przy końcu zauważyć, że „Zbiór pieśni ludowych z Warmji" powinien znaleźć się w ręku każdego inteligentnego Polaka, ażeby się przekonał, że „W obliczu materjału pieśniowego Warmja staje się ziemią bardziej polską, niż jakakolwiek inna dzielnica".

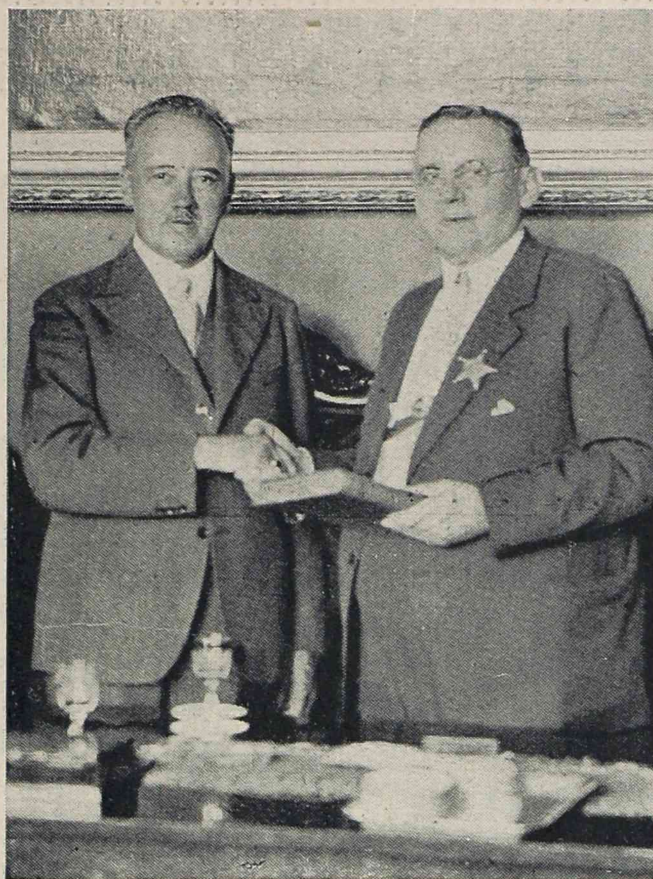
Paweł Krzowski

Burmistrz m. Chicago

u nas w gościnie

Wielka wystawa światowa odbędzie się w Chicago za rok, a już oglądaliśmy jeden jej okaz i to niebylejaki: sam burmistrz tego miasta, p. Antoni Czermak, zjechał do Warszawy.

Przyjechał do Europy, aby zareklamować wystawę i zrehabilitować Chicago. Nie ma ono bowiem dobrej opinji — nawet na Kercelaku. Przez lat dwanaście, t. j. przez trzy okresy zostawało ono pod rządami Big Thomsona, który budując coraz to obszerniejsze i wspanialsze dzielnice, pozwalał rozrość się bandytyzmowi, doprowadził do tego, że przekupstwo i łapówki rządziły wszechwładnie, że bitwy regularne i egzekucje pomiędzy wrogiemi bandami zbrodniarzy rozgrywały się w biały dzień na ulicach, że huk pękających bomb stał się miejską orkiestrą i że wreszcie gospodarka wielomiljonowego miasta znalazła się w stanie otwartego bankructwa.



PREZYDENT ZYG. SŁOMIŃSKI WRĘCZA BURMISTRZOWI CHICAGO A. CZERMAKOWI PAMIĄTKOWE ALBUM Z WIDOKAMI WARSZAWY

Tak stanęło Chicago wobec perspektywy otwarcia za dwa lata wystawy. Tutaj nastąpiło otrzeźwienie. Amerykanie nagle spostrzegli się, że jeżeli Europejczycy będą sobie wyobrażali, iż w Chicago po niebie, zamiast ptaków, latają kule, które i o nich zaczepić mogą, że jakaś bomba może ich razem z hotelem wysłać w stratosferę, że ich rzeczy mogą przez pomyłkę być zafantowane za amerykańskie długi, to nikt z Europy nie zechce przyjechać na wystawę. Postanowili więc postarać się o „wystawowego" burmistrza, a oczy miasta zwróciły się na Antoniego Czermaka.

I to jest najlepszą pochwałą dla niedawnego naszego gościa, który choć „demokrata", t. zn. „opozycjonista względem panującego obecnie stronnictwa, znalazł poparcie także „republikanów", zwłaszcza ze sfer zamożnych, finansowych. Wszyscy, pod magicznem hasłem „wystawa" spieszyli torować drogę przyszłemu burmistrzowi. Sam Big Thomson zrzekł się zwykłych środków walki, popierający go „gangsterzy" założyli bezczynnie ręce, a sam Al Capone, na intencję przyjazdu cudzoziemców, dał się zamknąć w więzieniu.

Były wprawdzie tarcia, bo katolicy nie chcieli głosować na Czermaka, jako masona, a on zasłaniał się przed nimi tarczą ze swoim patronem, św. Antonim Padewskim, Irlandczycy zaś, którzy w Ameryce chcą mieć monopol polityki, krzyczeli, że to wstyd, aby Ameryka stała się „kolonją czeską", ale przewaga sympatji po stronie dzisiejszego burmistrza była taka, że wybrany został 667.529 głosami przeciw 475.613, które padły na Big Thomsona.

Zestawienie obu kandydatów jest bardzo ciekawe, przyczem bardziej „amerykańską" jest właśnie osoba Czecha Czermaka. Amerykanie lubią bowiem, aby ich dygnitarze i wybrańcy za młodu sprzedawali gazety i dochodzili sami do wszystkiego. A właśnie Czermak, chociaż urodził się w Czechach, ożenił się z Czeszką i trzy córki i pięcioro wnucząt wychował na Czechów, jest jednak prawdziwym Amerykaninem, bo przyjechał do Ameryki na rękach matki, był najpierw chłopakiem do posług w kopalni, potem obnośnym handlarzem drzewa, dorobił się miljonów na spekulacji terenami i na browarnictwie, a z nastaniem prohibicji został bankierem.

Natomiast Big Thomson pochodzi z rodziny bardzo bogatej, otrzymał wykształcenie uniwersyteckie, potem coś mu do głowy strzeliło, został cow-boyem w Montanie, strojem cow-boya podbił sympatje Chicago, był i jest osobiście człowiekiem uczciwym, tylko takim, co „zapomniał zamknąć kasę", rządził miastem z krzykliwym rozmachem, zdaniem więc rodaków, na wystawie mógłby zająć miejsce tylko w gablotce, jako „historyczny okaz" minionej epoki.

W. D.

NOWY SZTANDAR „DZIECI WARSZAWY"

Fot. Jan Malarski



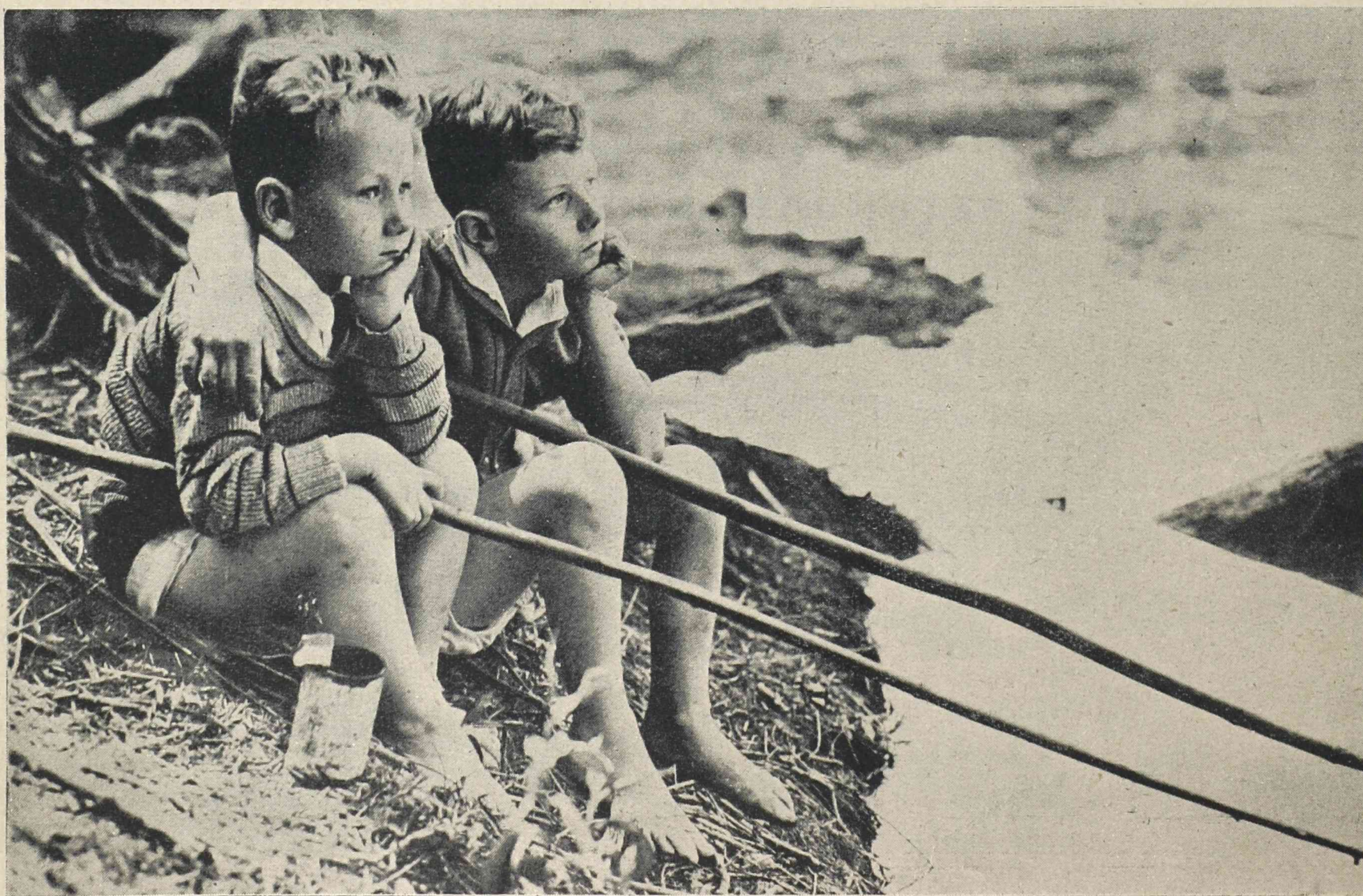


DNIA 18 SIERPNIA ODBYŁA SIĘ NA PLACU TEATRALNYM W WARSZAWIE UROCZYSTOŚĆ WRĘCZENIA NOWEGO SZTANDARU 21 WARSZAWSKIEMU PUŁKOWI PIECHOTY, UFUNDOWANEGO PRZEZ M. WARSZAWĘ. NA LEWO USTAWIONY W KOMPLECIE 21 PUŁK PODCZAS MSZY POLOWEJ. — NA PRAWO CHWILA WRĘCZANIA SZTANDARU PRZEZ PREZYDENTA MIASTA INŻ. Z. SŁOMIŃSKIEGO W OBECNOŚCI BISKUPA POLOWEGO GALLA

OSTATNIE DNI WAKACJI



DZIATWA SZWEDZKA W KOSTJUMACH NARODOWYCH TAŃCZY NA POLANIE



MŁODZI A JUŻ NIEPOPRAWNI OPTYMIŚCI: — CHWYCI CZY NIE CHWYCI? Fot. The New York Times

INTERESUJĄCE WIDOWISKO W TEATRZE NARODOWYM

Jakie przemiany dokonywują się w duszy kobiecej, gdy z potwornie brzydkiej staje się piękną?..



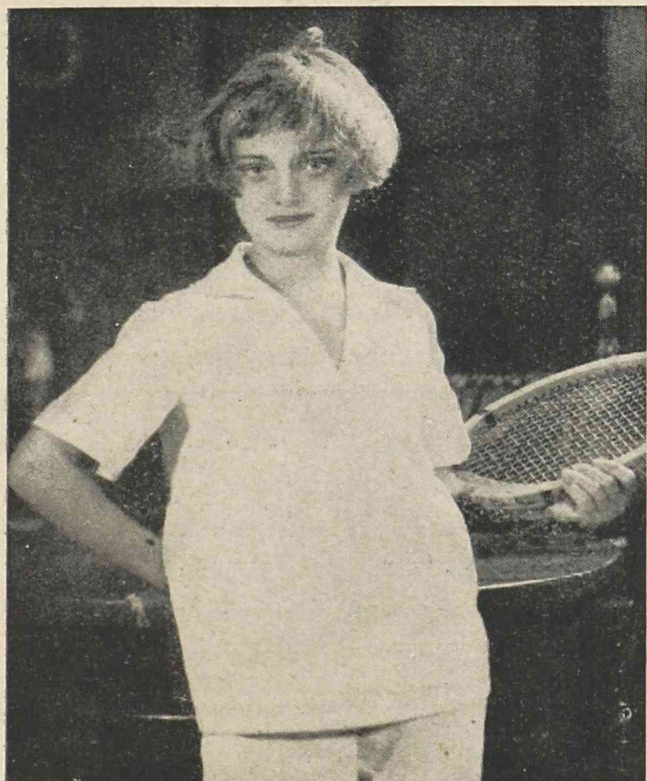
Banda włamywaczy dostaje się do mieszkania bogatego doktora (Socha, Solarski, Gorczyńska)



Gorczyńska (po odzyskaniu urody) i Węgrzyn

Fot. J. Malarski

(Patrz recenzję na odwrocie)



Nowa młodziutka aktorka, córka jednej z doskonałych artystek, p. Janeckiej



W agencji londyńskiej, której specjalnością są szantaże i organizowanie napadów bandyckich (Gorczyńska, Janusz, Socha, Buszyński)

Teatry Warszawskie

TEATR NARODOWY

„TAJEMNICA ZAMKU LEFTSBURY", sztuka w 3-ch aktach, 6-ciu obrazach Franciszka de Croisset'a. Przekład Tadeusza Kończyca. Reżyserja Emila Chaberskiego.

„Il était une fois..." zwie się ta sztuka w oryginale.

A więc po polsku: Była sobie razu jednego pewna bardzo brzydka dziewczyna, która...

Stop! Nie należy nigdy opowiadać treści sztuki teatralnej. To *mauvais genre* sprawozdawcy. Wdzięk bajki nie w treści, lecz w sposobie jej opowiedzenia. Ale opowiedzenia przez autora, nie przez recenzenta! Zwłaszcza gdy autorem, jak tym razem, jest taki niebylejaki majster od opowiadania emocjonujących historji dla „dorosłych stu tysięcy" widzów teatralnych, jak Franciszek de Croisset. Pamiętacie jego „Jastrzębia"?

Ale to nic wobec „Tajemnicy Zamku". Czego tu niema w tej jego nowej, hojnie powikłanej zdarzeniami, ukoronowanej „szlachetnem" zakończeniem, bajce scenicznej!

Banda koncesjonowanych włamywaczy-detektywów w najczystszym stylu wallace'owskim! Machinacje z listami, z anonimami, z perłami! Księgi handlowe uczciwie zarobionych pieniędzy *cambrioleur*'skich! — „Jedyny spadkobierca" wuja magnata, posiadającego „całą dzielnicę Londynu" (tylko!). Pracownia alchemiczna chirurga-kalotechnika, dokonywującego operacji zmieniania szpetnej twarzy na piękną! (Żywiołowe oklaski po tym obrazie dla Brydzińskiego!). Trucizna, której „kilkanaście kropel wystarczy, aby..." Jest wreszcie i dyskretnie ponura tajemnica czerwonego fotela... I tyle, tyle innych!

Ale — rzecz rozsądna — jest i sporo humoru, uosobionego w figurach: ramola księcia (cudowny Gawlikowski!), wesołego bandyty (brawo Socha!), zabawnego lokaja — totumfackiego (Zejdowski), jest i śmiech wiośniany rozigranego lordowicza (rozkoszna mała Jaga D.!) i t. d. i t. d. Wszystkiego potrochu!

Melodramat? Nie wstydźmy się tego określenia. Melodramat, ale melodramat pełnej krwi teatralnej, jako były za dni ojców naszych takie wielkie powodzenia, jak — „Monjoye", „Właściciel kuźnic", „Trucicielka", „Ferreol", i tyle, tyle innych! Melodramat, ale nieco odmienny od tamtych, bo bez łezki sentymentalnej, bez moralizatorstwa. Melodramat logiczny, inteligentny, melodramat „rzeczowy". Co więcej: melodramat z tezą. Z odrobiną nawet poezyjki...

Mniejsza zresztą o rodzaj utworu i jego klasyfikację literacką, skoro się rzetelnie podoba publiczności, skoro ją „bierze", skoro jest — powiedzmy to z naciskiem — prawdziwym, stuprocentowym teatrem!

Takim samym pełnokrwistym teatrem był przed kilkunastu laty tegoż Croisset'a *„L'épérvier"*. Była tam w akcie III-im słynna *scène à faire*. Panowie na widowni wstrzymywali oddech, panie podnosiły chusteczki do oczu... A na scenie w wielkiej bitwie namiętności i miłości zmagały się talenty — Junoszy-Stępowskiego i Janiny Szyling!...

W „Tajemnicy zamku" taką wielką „scenę do zrobienia" mają — Marja Gorczyńska i Józef Węgrzyn. Węgrzyna partja nie należy do trudnych, świetny artysta podaje ją lekko, z wdziękiem wytrawnej maestrji aktorskiej; natomiast Marja Gorczyńska w ogromnej, bardzo trudnej, t. z. „popisowej" roli nawróconej włamywaczki ma jeden ze swoich „wielkich dni" w dotychczasowej karjerze aktorskiej...

Znaczna część oklasków premjerowego wieczoru — a było ich bardzo, bardzo dużo! — przypadła w udziale pięknej artystce.

Sztuka Croisset'a zdaje się mieć u nas zapewnione powodzenie. Publiczność warszawska płci obojga — nietylko panie! — opuszczała Teatr Narodowy z widomemi śladami szczerego elementarnego wzruszenia. A po drodze w głos chwaliła artystów, teatr i sztukę.

Il était une fois... autor, który umiał trafić do upodobań publiczności. Nawet — warszawskiej...

Al B-e.

Jak ulubieniec Warszawy Antoni Fertner spędzał lato?



ODCHUDZAŁ SIĘ W MONTECATINI



PŁUKAŁ WYSMUKLONE KSZTAŁTY NA LIDO

PO ZAWODACH OLIMPIJSKICH



MISS COPELAND (S. Z. A. P.), REKORDZISTKA W RZUCIE DYSKIEM I OSZCZEPEM



TAKANORI IOSHIOKA, SZYBKOBIEGACZ JAPOŃSKI, ZWYCIĘZCA NA 100 METRACH



BIEG NA 800 METRÓW. ZAWODNICY RUSZAJĄ ZE STARTU

Fot. New York Times

OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY SZ. NASZYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE WPŁACENIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY. PRZYPOMINAMY, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA WRZESIEŃ 1932

KOT W GAZOMIERZU

OPOWIADANIE

— Czasy, w których wierzono w świadectwo zmysłów, należą już do przeszłości, mój panie, do przeszłości. Dziś rzecz się bierze pod miarkę, na aparacik tego, czy tamtego systemu, na kliszę fotograficzną.

— Tak się to mówi. Gotów jestem założyć się z panem, że mimo tej wiedzy, mimo nawet buntu wszystkich władz umysłowych, które będą wołać w panu wielkim głosem, że zmysły, to najzdradliwszy świadek pod słońcem, uwierzy pan, może tylko na krótką chwilę, ale uwierzy pan w najoczywistszą niedorzeczność, jeżeli tylko usłyszy ją pan na własne uszy, albo ujrzy na własne oczy. Czy chce pan posłuchać dość ciekawej historji, która wydarzyła mi się przed kilku laty?

— Jeśli tylko historja godna jest causeura, co zgóry przewiduję...

— Historja taka sobie. Ale jest doskonałą ilustracją, jak łatwo człowiek porzuca opinję rozumu i słucha podszeptu zmysłów.

Pewnego sierpniowego wieczora, mniej więcej takiego, jak dzisiejszy, siedziałem w redakcji nad stosem depesz i z politowaniem rozczytywałem się w tym chaosie wiadomości, na nic nikomu nieprzydatnych. Wtem zadźwięczał telefon. Jeden z reporterów donosił, że nieopodal redakcji zdarzył się nadzwyczajny wypadek: kot wlazł do gazomierza. Roześmiałem się.

— Panie drogi, upiłeś się pan chyba?

— Najświętsze słowo honoru — rzekł tamten z przejęciem — sam z początku nie wierzyłem, ale to szczera prawda. Kot wlazł do gazomierza. Właśnie w głowę zachodzimy, jak on to zrobił?

— Cóż za głupstwa! — powiedziałem zgorszony — pan widocznie nie ma zielonego pojęcia o budowie gazomierza.

Reporter począł przysięgać, że mówi prawdę. Nie wie, jak to się wszystko stało, ale w gazomierzu siedzi kot i miauczy. Nawet komisarz policji, który początkowo również śmiał się z tej historji i nawet nie chciał przyjechać na miejsce, teraz, kiedy obejrzał to wszystko, nie może wyjść ze zdumienia.

Napróżno usiłowałem wyperswadować mu tę brednię.

— Panie — mówiłem — zastanów się tylko! Toż to są duby smalone, koszałki opałki! Rozumiesz pan? Bzdury, bajdy, banialuki. Czyż pan nie wie, że gazomierz jest ze wszystkich stron hermetycznie zamknięty? Nawet komar nie miałby którędy tam wleźć. A choćby, przypuśćmy ten idjotyzm, kot jakimś cudownym sposobem wszedł do gazomierza, to po pierwsze, nie miałby gdzie siedzieć, bo cały aparat wypełnia specjalny młynek z wodą, a powtóre zdechłby w gazie i utopił się w wodzie w przeciągu kilkunastu sekund!

— Rozumiem, ja to wszystko rozumiem doskonale i jak odchodzę od tego gazomierza, to przestaję wierzyć. Ale przysięgam panu na zdrowie żony i dzieci, że w gazomierzu siedzi kot! Nie wiem jak, ale siedzi. Komisarz także nie chciał wierzyć, a teraz...

— Dość. Poproś pan komisarza do telefonu.

Przekonałem się ze zdumieniem, że komisarz wierzył w tę poprostu niebotyczną brednię. Wprawdzie sam, powiada, jest tem wszystkiem niepomiernie zaskoczony, ale o ile mu się zdaje, kot istotnie siedzi w gazomierzu.

— Kot siedzi w dymniku obok! Albo pod podłogą! Ale nie w gazomierzu, na miłość boską! Albo ktoś sobie robi żarty!

W głosie komisarza odczułem lekkie znudzenie.

— Drogi panie. Przez pół godziny przeprowadzałem szczegółowe śledztwo. Nikt sobie nie robi żartów; gazomierz nie jest zepsuty, gaz działa, lampy się palą, opukiwaliśmy ściany, nigdzie niema dymników obok... Nic mi na tem nie zależy, aby pan się na to wszystko zgodził. Tymczasem, daruje pan, ale nie mam czasu. Dowidzenia.

Odłożyłem słuchawkę, przekonany, że mam do czynienia z objawem jakiejś halucynacji zbiorowej. Postanowiłem pojechać na miejsce.

W kilka chwil potem siedziałem w taksówce, trochę zły na samego siebie. Już sam fakt, że nie machnąłem ręką na tę brednię, dowodził przynajmniej lekkiego przyćmienia umysłu.

Brama domu zapchana była ludźmi, z podnieceniem rozprawiającymi nad dziwną przygodą.

— Wszystko rozumiem — usłyszałem, przeciskając się przez tłum — ale jak ten kot przelazł przez taką cieniutkę rurkę?

— Bałwan — mruknąłem przez zęby, czując, że sam się rumienię.

Zatłoczoną sionką dotarłem wreszcie do mieszkania ze zwarjowanym gazomierzem. Wpuszczono mnie do środka dopiero po wylegitymowaniu przez drzwi. W przedpokoju zastałem kilka osób, w milczeniu przysłuchujących się rozmowie, którą komisarz toczył przez telefon. Już od kwadransa usiłował bezskutecznie skłonić zarząd gazowni do przysłania mechanika i rozkręcenia gazomierza. Przy telefonie szalał sam naczelny inżynier. Wrzeszczał, że nie jest warjatem, aby wydawać tak absurdalne zarządzenia, że nie upoważniał nikogo do interpelowania go w kwestjach idjotycznych, że wogóle odmawia wszelkiej dyskusji na ten temat, odmawia stanowczo i ostatecznie.

Komisarz łagodnym głosem zgadzał się na wszystko. Prosił tylko, aby inżynier przyjechał. Oczywiście to wszystko są nonsensy. Ale on prosi o przybycie, o nic innego, tylko o łaskawe przybycie.

Inżynier poprostu odchodził od przytomności. Komisarz opowiadał potem, że impetykowi wściekłość tak sparaliżowała język, że wkońcu nic nie można było zrozumieć, co bełkotał. W ostatku zapowiedział, że przyjedzie, ale tylko po to, aby strzelić w łeb pierwszemu, który mu powie, że w gazomierzu siedzi kot.

Komisarz powiesił słuchawkę i przywitał się ze mną.

Zachowując demonstracyjne milczenie, oraz usilnie starając się przybrać szyderczy wyraz twarzy, ruszyłem za nim małym korytarzykiem, gdzie znajdował się gazomierz. Kilku domowników od dwu godzin patrzyło weń, jak wrona w gnat. Zmierzyłem drwiącem spojrzeniem czarne, niepozorne pudełko, które tak zrewoltowało całą dzielnicę.

— Proszę — rzekł komisarz — niech pan puknie w ściankę gazomierza.

Nie odpowiedziawszy nic, przystąpiłem do badania. Skrzynka stała na krótkich nóżkach i w pewnem oddaleniu od ściany. Te dwie okoliczności sprawiały, że cały przyrząd można było doskonale obejrzeć ze wszystkich stron.

Zapukałem w pobliski mur, naprzód delikatnie, potem trochę silniej. Nic. Żadnego odgłosu, którykolwiek wskazywał, że za ścianą jest pustka. Sam widziałem, że przypuszczenie o dymniku jest niedorzecznością.

Opukawszy podłogę dokoła całego gazomierza, również bez najmniejszego rezultatu, ukląkłem i przyłożyłem ucho do aparatu. Cisza. Napoły ze wstydem, napoły z odrazą puknąłem w ściankę.

Puknąłem i osłupiałem.

Z gazomierza dało się słyszeć głośne, zupełnie wyraźne i boleściwie modulowane miauczenie kota.

Było to coś tak nieoczekiwanego i przeciwnego wszelkiemu porządkowi rzeczy, że nie wierzyłem własnym uszom.

Przywoławszy na pomoc całą przytomność umysłu, przytknąłem głowę do metalowego pudła i zastukałem znowu: tuż za ścianką, o kilka milimetrów od mojego ucha, usłyszałem znowu rozpaczliwy, przejmujący koci jęk.

Zdrętwiałem. Dział się jakiś potworny zamach na zdrowy sens. Coś we mnie zawrzało, że jeśli się temu poddam, grozi mi nieuchronne szaleństwo. Resztką sił opanowałem powstający we mnie chaos.

Usłyszałem jeszcze raz koci głos wewnątrz gazomierza i uczułem, że walą się w proch wszystkie moje pojęcia o nieprzenikliwości materji, własnościach ga-

zu, wody, powietrza, organizmu, możliwościach, niemożliwościach, pewnikach, absurdach...

— Przecież jest tam taki młynek! — krzyknąłem z rozpaczą.

Odpowiedziało mi głuche milczenie obecnych.

Wstałem z chaosem w głowie, wśród którego twardo, wyraziście i bez najmniejszych wątpliwości odrzynał się obraz kota, wypełniającego przestrzeń, jednocześnie zajętą przez młynek... Kota, zanurzonego z głową w wodzie. Kota, miauczącego w zabójczym gazie.

— Idjotyzm! — szarpnąłem się ostatkiem sił — nie wierzę w to.

Znowu przytknąłem ucho do gazomierza, zastukałem nieprzytomnie i uwierzyłem znowu. Jakże miałem nie wierzyć. Tuż przy mojem uchu miauczał kot.

W korytarzu zrobił się ruch. To inżynier z mechanikiem przybyli z gazowni.

Naczelny inżynier, mój dobry znajomy, był rosłym chłopem o imponujących rysach i zawiesistym wąsie, który teraz przygryzał gwałtownie. Tocząc dokoła przekrwionemi oczyma, mówił coś z irytacją. Piąte przez dziesiąte zrozumiałem, że protestuje przeciwko robieniu z niego durnia i zapowiada, że nigdy nie pozwoli na poruszenie aparatu.

— Proszę, niech pan zapuka w ściankę... — rzekł sennie komisarz.

Inżynier żachnął się gwałtownie.

— Panie Jerzy! — zawołał, dostrzegając mnie — niechże im pan wytłumaczy, do licha... to jakieś złudzenie słuchowe!!!

Spojrzałem na niego, jak wilk. W pierwszej chwili chciałem mu, niewiadomo za co, nawymyślać. Zacisnąłem zęby i rzekłem:

— Nie mam nic wspólnego z tą całą awanturą i dajcie mi święty spokój!

Inżynier popatrzał po nas, jak po bandzie warjatów. Lewe nozdrze poczęło mu drgać. Wiedziałem, że jest bliski furji. Opanował się jednak i, zapaliwszy elektryczną latarkę, począł badać okolicę przeklętego pudła. Zajrzał pod nie, puścił strumień światła od ściany, wypukał mur, wypukał podłogę. Nakoniec z widocznym przymusem zastukał w gazomierz i latarka wypadła mu z rąk.

Spoglądał na nas wzrokiem zupełnego idjoty. Daję panu słowo, nigdy przedtem, ani potem, nie widziałem nic tak bezdennie tępego, jak jego oczy. Chyba tylko ludzie, znienacka uderzeni drągiem w głowę, mają takie spojrzenie.

— Czary, czy co? — spytał wreszcie nieswoim głosem, opukawszy z dziesięć razy djabelską skrzynkę. Usiadł ciężko w krześle i przenosił bezradny wzrok z twarzy na twarz, szukając ratunku.

Nie zapomnę nigdy tego widoku. Było to coś nieprawdopodobnego: ten człowiek w moich oczach zmizerniał. Zwyczajnie zmizerniał: z doskonale wyglądającego zrobił się sflaczały, blady wymoczek.

— No dobrze — powiedział, jakby cudzym głosem — ale jak on tam wlazł?

Zmęczonym ruchem wsparł głowę na dłoni, a łokieć na kolanie. Patrzył na gazomierz jak człowiek, przybity wielkiem a nieoczekiwanem nieszczęściem. Po długiej chwili wzruszył ramionami i odwrócił głowę ku mechanikowi, wskazując mu oczyma metalowe pudełko.

Mechanik przyklęknął. Wśród powszechnej emocji, zamknął dopływ gazu, wylot gazomierza i począł odkręcać śrubki. Odjął wreszcie całe pudło, odstawił na bok i drżącą nieco ręką wziął się do rozśrubowywania pokrywy.

Obecni, przytaiwszy dech w piersiach, utkwili oczy w tym kawałku blachy. Jeszcze kilka śrubek. Jeszcze jedna.

Mechanik zdjął pokrywę i wszystkie głowy gwałtownie pochyliły się naprzód. W gazomierzu kota nie było.

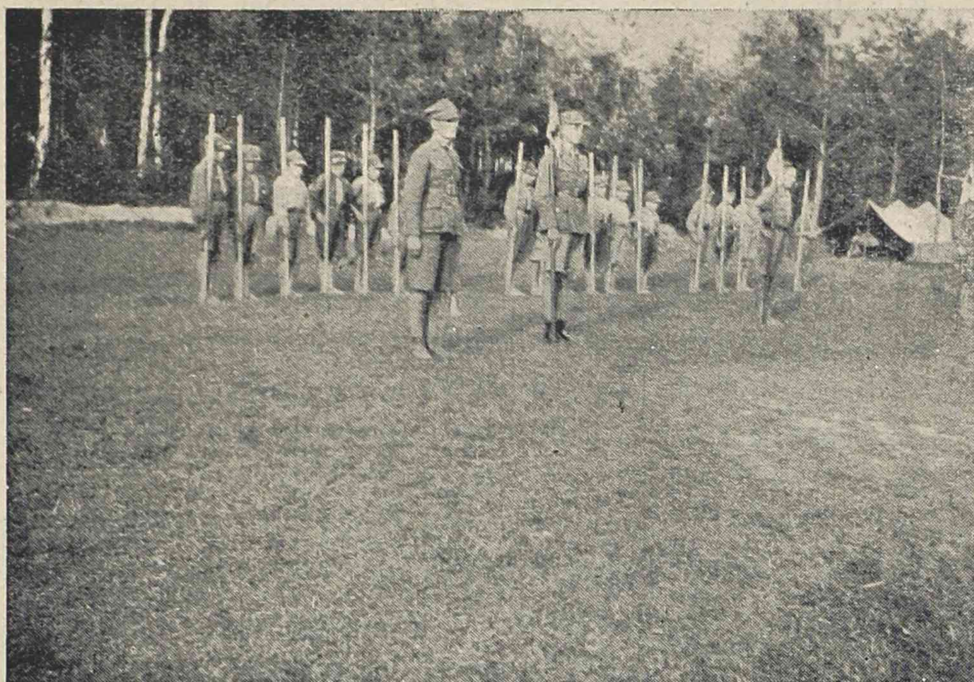
*

Po kilku godzinach zagadkę rozwiązano ostatecznie.

Nie pamiętam, czy panu wspomniałem, że te wypadki rozgrywały się w mieszkaniu parterowem. Otóż w ścianie piwnicy, znacznie szerszej od ściany leżącego nad nią mieszkania, był tak zwany luft, który przypadkiem kończył się tuż pod gazomierzem i z tej prostej przyczyny nie można go było wykryć pukaniem. Pukaliśmy bowiem wszędzie dokoła, z wyjątkiem oczywiście miejsca, na którem stał gazomierz. Pukanie pod nim, ze względu na krótkość nóżek było niemożliwe.

W tem to właśnie miejscu siedział przeklęty kot, który wystawił nas na takich dudków. Wlazł gdzieś przez jeden z oddalonych wietrzników, a nie mogąc się wydostać, począł miauczeć. Metalowa skrzynka okazała się, na nasze nieszczęście, wybornym rezonatorem. I oto stało się, że uwierzyliśmy w takie poprostu niebotyczne głupstwo.

Juljan Babiński



RANNA ZBIÓRKA DRUŻYNY HARCERSKIEJ



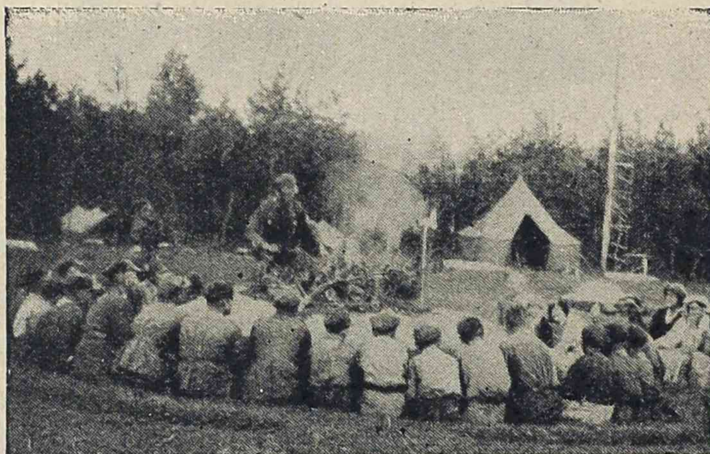
ZABAWA W SIATKÓWKĘ NA LEŚNEM BOISKU

GODZINA U SKAUTÓW

Lato. Duszne, upalne, wyjątkowo piękne. W żar murów, zatrutych benzyną i wyziewami wielkiego miasta, wpada w postaci zwykłej karty pocztowej z obrzydliwą kliszą, mającą na celu „propagandę" piękna ziemi polskiej, zaproszenie:

„Prosimy przyjechać do naszego obozu w Świnicach. Jest słońce, las i mleko"...

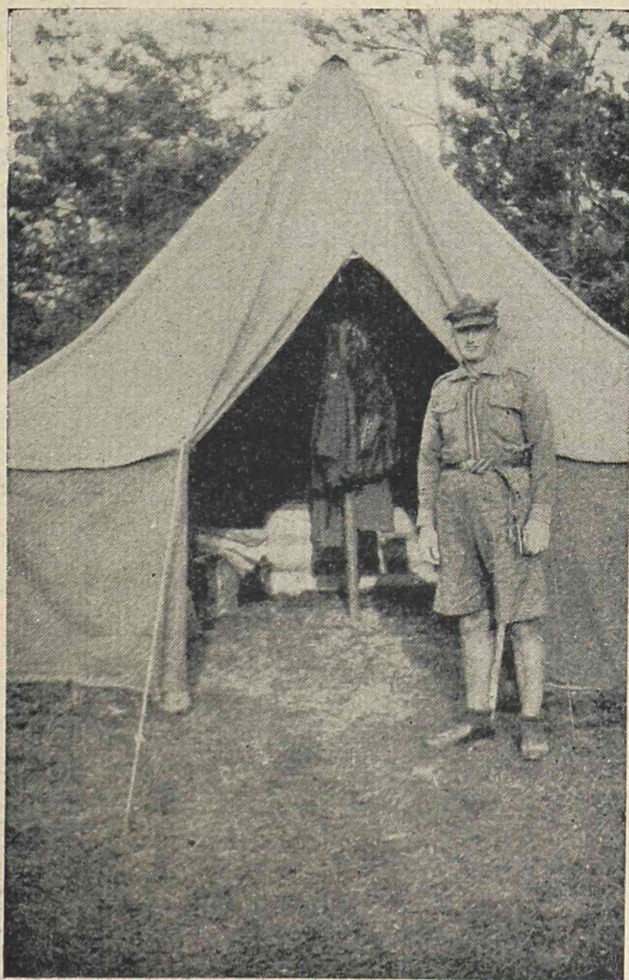
W Świnicach, majątku p. Jabłkowskich, na ślicznej polanie, okolonej zwartym murem lasu, pachnącej macierzanką, rozbił swoje namioty obóz harcerskiej drużyny kaliskiej, utrzymywany troską i staraniem koła Ziemianek. Trzydziestu dwóch chłopców, rekrutujących się przeważnie ze sfer rzemieślniczych, w ciągu sześciu tygodni korzysta zupełnie bezpłatnie ze świeżego powietrza, lasu, wszystkich rozkoszy wsi, opala się na bronzowo i czarno, a przedewszystkiem bezpośrednio przebywa z naturą.



GOŚCIE I SWOI PRZY OGNISKU

Kilka bowiem dobrych i zacnych pań: Murzynowska, Golczowa, Stefańska, Jabłkowska i inne, które znalazły w życiu treść głębszą od dancingów, salon des beautés i konferencji z modystkami, znacznym wysiłkiem i kosztem rok rocznie wysyłają kilkudziesięciu chłopców na wieś, do lasu, na łąki. Niech i oni opuszczą zakamarki miejskie, odetchną powietrzem pól, wsłuchają się w tajemnicze baśnie, jakie mruczy po słońca zachodzie pijany żywicą las. Jednego roku w Błaszkach, następnego znów w Świnicach. Gdzie znajdzie się polana i dobrzy ludzie przygarną...

Przez sześć tygodni żyje sobie tedy gromadka, jak owi „leśni ludzie" z prześlicznej powieści Rodziewiczówny. Mają teren i opiekę, fachowy kierunek druha Nowackiego, produkty po najniższej cenie i... zacnego osła kłapoucha, który spełnia ochotnie wszelkie funkcje. Przywozi jedzenie i pocztę, ciągnie przystrojony zielenią wózek z zaproszonymi gośćmi, służy za wierzchowca. Czasem w drodze przystanie, zaduma się godzinę lub dwie, ale na to niema rady. Wiadomo, że zwierz ten do komtemplacji skory, o umyśle wielce analitycznym. Tylko ludzie arcy głupi mądrzejszych od siebie osłami nazywają.



DRUH NOWACKI, KIEROWNIK OBOZU

W słońcu, powietrzu i wśród przepychu przyrody żyje wesoło i pracowicie gromadka boża. Od świtu do zmroku dzień wypełniony. Zabawy, gry, troska o obóz i prowianty, gimnastyka, gotowanie i sprzątanie, słowem, ani chwili na próżniactwo.

A kiedy nadejdzie jesień, czas powrotu do szkoły, zwija gromadka własne i wypożyczone z kaliskiego skautingu namioty i wraca do domu. Świeża, wypoczęta, zdrowa, radosna.

Patrząc na opalone twarze i jasne spojrzenia, widzi się, jak wiele dobrego może zdziałać inicjatywa prywatna. Koło Ziemianek z Kaliskiego posiada wielką zasługę wobec społeczeństwa. Setki organizacji kobiecych winne pójść za ich przykładem.

Czyż nie lepiej, zamiast wygłaszać puste mowy na zjazdach i ubiegać o tytuły prezesek, umożliwić kilkunastu niezamożnym wyrostkom parotygodniowy pobyt w lesie, polu, na wodzie i w słońcu. Jedna opalona twarz daje większe zadowolenie, aniżeli streszczenie najdłuższej mowy w miejscowej gazetce.

j. w.

HUMOR

— Od dwudziestu lat jestem żonaty i ani jednego wieczoru nie spędziłem poza domem.

— To się nazywa prawdziwa miłość małżeńska!

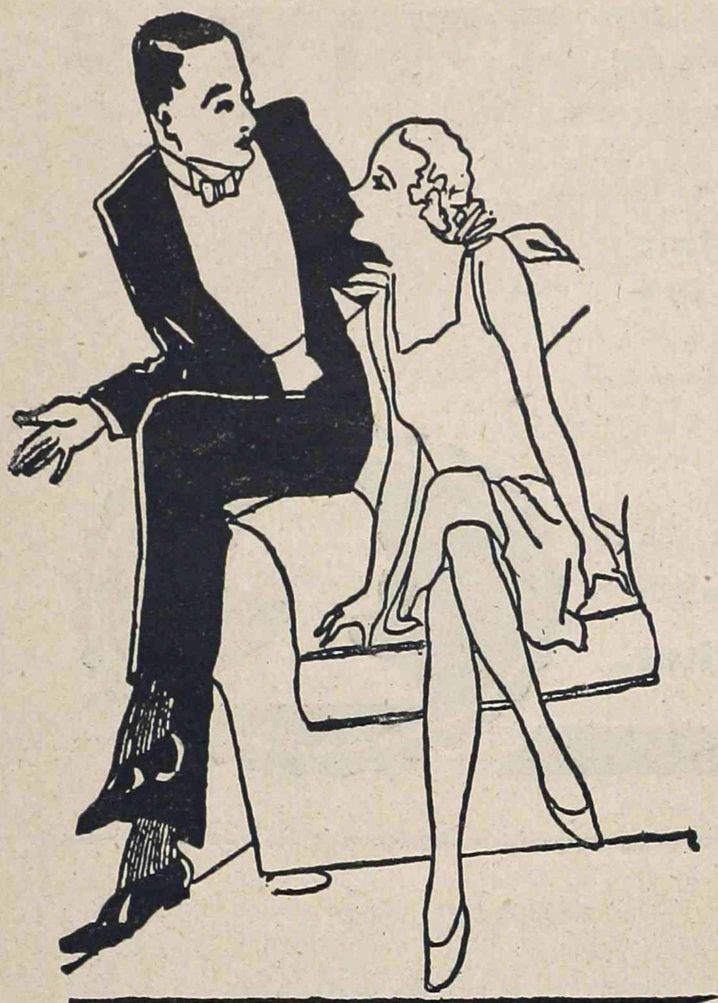
— Nie, mój panie, to się nazywa — reumatyzm.

ZAKOŃCZENIE WAKACJI



DN. 21 B. M. ZAMKNIĘTO W REMBERTOWIE PÓŁKOLONJE LETNIE, ZORGANIZOWANE Z INICJATYWY KIEROWNIKA WOJSK. ZAKŁ. PIROTECHNICZNYCH, PPŁK. JERZEGO ZAPOLSKIEGO, DLA DZIECI PRACOWNIKÓW TYCH ZAKŁADÓW. POŚRODKU NASZEGO ZDJĘCIA WIDZIMY PPŁK. ZAPOLSKIEGO W OTOCZENIU DZIATWY, ŻEGNAJĄCEJ SWEGO OPIEKUNA KWIATAMI.

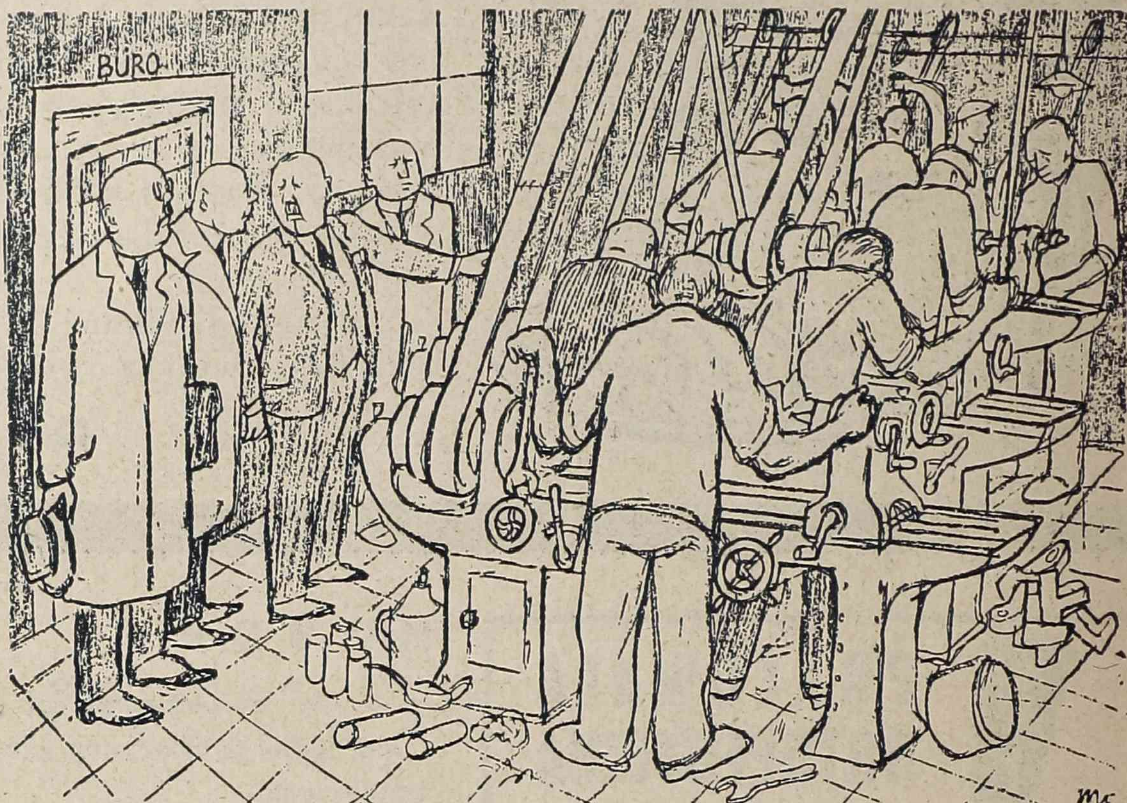
HUMOR



NIEPOROZUMIENIE.

— A jeśli panią pocałuję, czy zawoła pani pomocy?

— Jakto! Pan potrzebuje do tego pomocy?



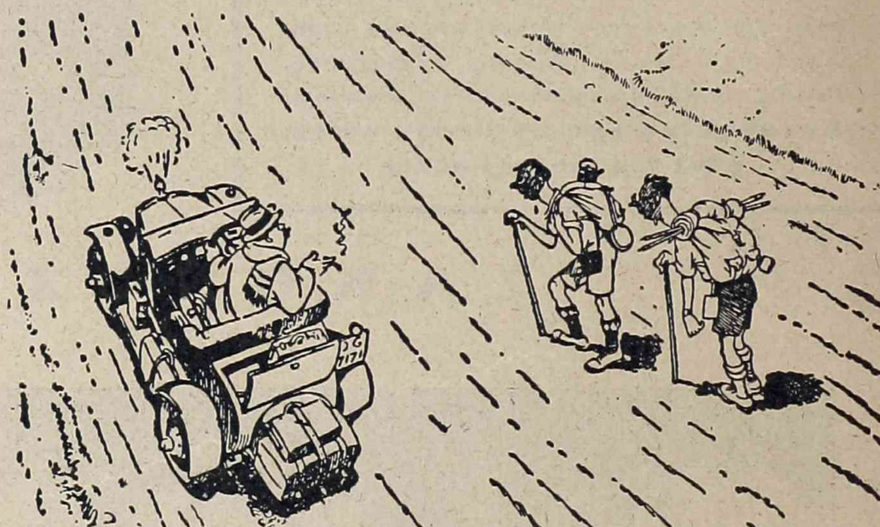
ZŁOTE CZASY

— Podczas wojny był tu inny ruch. Dzień i noc fabrykowano granaty. Nawet sieroty miały zajęcie.

KARYKATURY FILMOWE

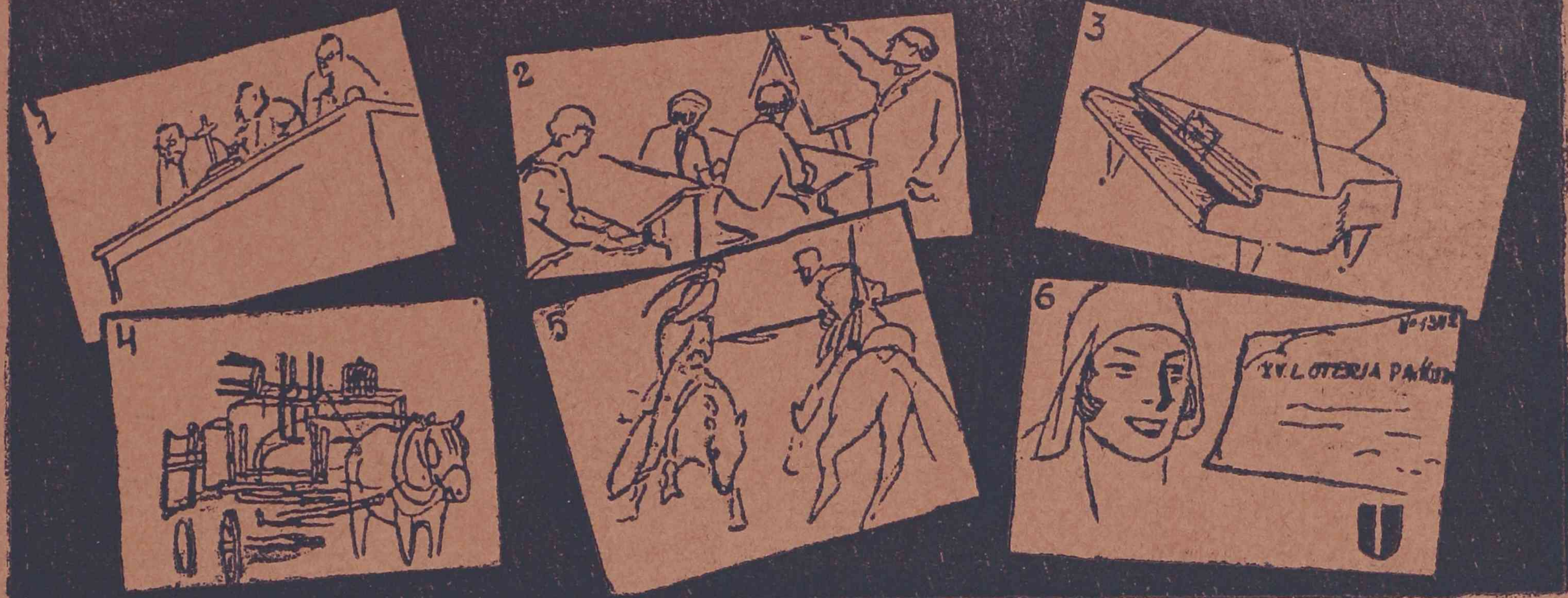


Dorothy Jordan, Clark Gable i Wallace Beery



Automobilista: — Moi panowie, macie miny tęgich sportowców. Czy nie moglibyście trochę popchnąć maszynę pod górę, bo motor nie uradzi. Przecież my, turyści, musimy sobie pomagać.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Druk. Galewski i Dau, Warszawa



№ 59 (162) TEATR W REBUSACH

(Za trafne rozwiązanie 6 punktów)

Odczytać tytuły sześciu utworów dramatycznych polskich

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z № 29-go i № 30-go

№ 48 (151) CZY WIECIE? 1. Karty do gry znane były w Chinach i w Indjach już na początku naszej ery, do Europy zostały sprowadzone przez Saracenów około 1379-go roku; 2. Witaminy są to substancje roślinne o wielkiej wartości odżywczej, niezbędne do rozwoju każdej żywej komórki. Odkryte zostały przez warszawianina, dra Kazimierza Funka; 3. Metrampaż (z francuskiego „układać w kolumny") jest to zecer, układający przygotowany w szpaltach materjał w kolumny wraz z kliszami; 4. Banderą polskiej marynarki wojennej jest biało-czerwona flaga, wycięta w ząb, posiadająca na górnem, białem polu na czerwonej tarczy białego orła; 5. Olimpjady wznowione zostały w roku 1896-ym w Atenach z inicjatywy bar. Piotra de Coubertin; 6. Loping czyli pętlica jest to w lotnictwie zatoczenie koła w płaszczyźnie pionowej; 7. Góra Kościuszki znajduje się w Alpach Australijskich; 8. Skrót P. G. P. oznacza: Prokuratorja Generalna Państwa; 9. Za początek parlamentaryzmu uważany jest rok 1215-ty, kiedy została wydana słynna „Magna Charta", wprowadzająca w Anglji obok czynników feudalnych (Izby Lordów) do uchwalania podatków również przedstawicielstwo gmin; 10. Twórcą kanału suezkiego, wybudowanego w latach 1859—1869, był inżynier francuski, Lesseps.

№ 49 (152) LOGOGRYF: Mińsk, Osika, Niger, Inguł, Uszko, Wrzos, Zamki, Cadyk, Obraz — Moniuszko — Karłowicz.

№ 50 (153) ZADANIE LICZBOWE: $9 + 1 = 10$, $1000 - 999 = 1$, $333 \times 67 = 22311$, $96390 : 85 = 1134$; 97.732, 1152, 23456.

№ 51 (154) CIĄGÓWKA SYLABOWA: Kapela, Lawina, Namowa, Wataha, Rodacy, Cytata, Taryfa, Faraon, Itaka, Karesa, Sanator, Tornado; Petarda, Danuta, Wizyta, Tagore, Motory, Rycina, Tamara, Rawenna.

№ 52 (155) UKŁADANKA: Każdy człowiek i każdy naród musi najprzód uwierzyć w siłę swej duszy i w niezłomne jej prawa, a następnie ćwiczyć w sobie żądzę wolności i wytępiać zarazę niewolnictwa.

Trafne rozwiązania zadań nadesłali:

pp. Albowicz Jerzy (14), Birnbaum Jerzy (3), Boguszewska Irena (12), Byszewski Edward (17), Eeglińska Zofja (17), Dębowska Adolfa (9), Herbstmanówna Dorota (20), Kicińska Stefanja (9), Klimczak Roman (20), Kowalska Jawna (18), Kozłowski N. Kazimierz (18), Kretkowski Teodor (17), Łopatto Jerzy (21), Mikowska Stanisława (7), Niemczyński Roman (12), Oborski Karol (13), Poraziński Ryszard (16), Puchowicz Kazimierz (19), Radwan Mieczysław (17), Silczyński Władysław (21), Sławnicki Michał (7), Słowikowska Dorota (19), Tietz Zygmunt (21), Uklański Marjan (21), Wesołowska Wacława (8), Wiśniewski Kazimierz (7), Wyczółkowski Maciej (8), Wykrętowicz — Rządca Wacława (15), Zagajewski Adam (5), Zborowska Teresa (14), Żukowska Irena (5) — z *Warszawy*, oraz

pp. Adamska Marja (7) — z Tomaszowa Maz., Aleksandrowicz Jan (12) — ze Lwowa, Bernatowicz Zygmunt (9)—z Milanówka, Borkowska Zofja (8) — z Kutna, Bugajska Marja (15) — z Kłobucka, Czarnocka Wanda (12) — z Płocka, Cywińska Stefanja (2) — z Łomży, Domański Roman (14) — z Płocka, Dorszewski Rudolf (17) — ze Świecia, Drzewiecka Halina (3) — z Cukrowni „Miejska Górka", Faliński Konrad (12) — z Końskich, Głaziński Aleksander (9) — z Mińska Maz., Grodzicki Józef (17) — z Brześcia n/B., Horzelski Wincenty (12) — ze Stanisławowa, Iwańczykowa Marja (4) — z maj. Siernicze Wielkie, Izdebski Ryszard (5) — z Sandomierza, Jackowski Leon (15) — z Piotrkowa Tryb. Janicka Zofja (14) — z Grudziądza, Jurkiewicz Eugenjusz (10) — z Wilna, Kotowska Emilja (17) — z Poznania, Kolisko Mieczysław (10) z Brześcia n/B., Kowalska Marja (12) — z Włodzimierza, kpt. Kraiński Józef (18) — z Krakowa, Krasucka Zofja (12) — z Zawiercia, Krauze Józef (7) — z Żyrardowa, inż. Krudysz Jan (10) — z Cieszyna, Kwiekowa Jadwiga (20) — z Cukrowni „Dobrzelin", Łuka-

(Dokończenie na 4-ej stronie okładki)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

(Dokończenie z 3-ej strony okładki)

siewicz Michał (5) — z Białegostoku, Malinowski Stefan (10) — ze Lwowa, Maliszewski Kazimierz (19) — ze Strzemieszyc, Misiewicz Karol (9) — z Cieszyna, inż. Modrzejewski Józef (12) — z Lublina, Morawski Janusz (9) — z Bielska, Olszewska Irena (13) — z Dęblina, Orzechowska Wanda (13) — z Otwocka, Pieracki Zygmunt (20) — z Wilna, Pawiński Konstanty (19) — z Ostrołęki, Przypkowski Wacław (17) — z Kobyłki, Rakowiecka Helena (14) — z Lublina, Rowicki Tadeusz (15) — z Milanówka, Rzewicka Irena (5) — z Będzina, Sawicka Karolina (5) — z Białegostoku, Sieklucka Regina (6) — z maj. Emilucyn, Skupińska Marta (10) — z Zamościa, por. Solka Wacław (14) — z Lubaczowa, Szeliga Barbara (7) — z Siedlec, Staroń Józef (17) — z Ostrołęki, Tarnowski Władysław (8) — z Grodziska, Tobias Henryk (12) — z Kielc, „Tolek z Królewszczyzny" (17), Tyblewski Wacław (21)— z Poznania, Węgierski Ludwik (5) — z Miłosnej, Wróblewska Janina (16) — z Cukrowni „Marja" w Sójkach, Wysocka Ludwika (19) — z Dubna, Zabłocki Gabrjel (12) — z Łucka, Zawadzka Anna (9) — z Ciechanowa, Zelcer Adam (14) — ze Lwowa.

NAGRODY książkowe za trafne rozwiązanie poszczególnych zadań przyznano:

p. *Wacławie Wesołowskiej* z Warszawy,

p. *Ryszardowi Izdebskiemu* z Sandomierza,

p. *Karolowi Misiewiczowi* z Cieszyna,

p. *Romanowi Niemczyńskiemu* z Warszawy,

p. *Wacławowi Przypkowskiemu* z Kobyłki.

SKRZYNKA POCZTOWA

P. Wacław Tyblewski z Poznania: — Na przeszkodzie do stałego zamieszczania „Skrzynki" staje jedynie szczupłość miejsca, jakiem Dział dysponuje. Pozostałe życzenia postaramy się uwzględnić w przyszłości. Za wyrazy uznania dziękujemy.

P. por. Wacław Solka z Lubaczowa: — Bardzo przepraszamy za wynikłą z winy chochlika drukarskiego „feminizację".

P. Kazimierz Maliszewski ze Strzemieszyc: — Ze względu na ogromny zasiąg „Świata" i wielką różnorodność zainteresowań Czytelników, wykonywanie naszego zadania — dostarczania przyjemnej i pożytecznej rozrywki — nie jest rzeczą łatwą. Miło więc jest otrzymywać dowody, że praca nasza zyskuje uznanie. Serdecznie dziękujemy.

P. Jadwiga Kwiekowa z Cukrowni Dobrzelin: — Naogół 2-tygodniowy termin nadsyłania rozwiązań uważany jest za wystarczający. Najlepiej wysyłać rozwiązania „na gorąco", zaś dłuższy termin mógłby sprzyjać przeoczaniu odpowiedniej daty.

P. Stanisław Jaromin z Niwki: — Za wyrazy uznania dziękujemy. Z nadesłanego rebusiku skorzystać nie będziemy mogli — ze względu na jego treść. W zasadzie zadania, nadsyłane przez Czytelników, zamieszczamy, o ile odpowiadają one naszym założeniom „programowym".

P. inż. Jan Krudysz z Cieszyna: — W bieżącym kwartale zamierzamy dać specjalne zadanie „pocieszenia" dla tych Czytelników, którzy, jak Pan Inżynier, stracili pewną sumę punktów do klasyfikacji kwartalnej. Za wyrazy uznania dziękujemy. „Świat" od pierwszej do ostatniej kolumny redagowany jest w ten sposób, by Czytelników w pełni zadowolić.

*

Rozrywki umysłowe „ŚWIATA"

dostępne dla wszystkich Czytelników, mają podwójny charakter: 1) współzawodnictwa przy rozwiązywaniu poszczególnych zadań i 2) turnieju wytrwałości.

Za trafne rozwiązanie każdego zadania zalicza się odpowiednią ilość punktów i rozlosowuje jedną nagrodę.

Zdobywcy największej liczby punktów w ciągu kwartału otrzymują pięć wartościowych nagród, nadto wśród Czytelników, którzy nadeślą trafne rozwiązania przynajmniej jednego zadania z każdego numeru w ciągu kwartału, rozlosowuje się pięć nagród pocieszenia.

Ogółem redakcja „Świata" przeznaczyła w bieżącym kwartale około piędziesięciu wartościowych nagród.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie 14-o dniowym od daty każdego zeszytu pod adresem: Redakcja tygod. „ wiat" Warszawa, Szpitalna 12, Dział Rozrywek Umysłowych.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa